

odgłosy



Nr 32 (336)
9. VIII. 1964 R.
18 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Czołem panie pułkowniku** • **Młodość Lumumbi** • **Gwiazdy na ziemi** • **O poezji Słobodnika** • **O nowych filmach** • **Nowelka kryminalna** • **Recenzje** • **Polonica** • **Felietony**

Tadeusz CHRÓSCIELEWSKI Moja JEZDA do MOSKWI.



Tempo zwiedzania niesamowite. Przychodzi moment, kiedy i oglądanie arcydzieł staje się twarzą, nieludzką pracą. Jesteśmy w sytuacji owego mnicha z kronikarskiej anegdoty o Szczodrym, któremu monarcha pozwolił wynieść jednorazowo tyle złota, ile zdola unieść na karku. Tak się złożyło, że z całej rusycystycznej delegacji tylko Seweryn Pollak jest tu starym bywalcem. Ten nie rozjeżdża się z nami po Moskwie, lecz składa wizyty. Począwszy od Anny Achmatowej — której przywiózł ciepły jeszcze, sygnałny egzemplarz przekładów jej wierszy w celofanowej serii PIW-u. Pozostali, a więc Maria Wisłowska, Stefan Flukowski i ja — przyjechalśmy tu po raz pierwszy. To co w innym wypadku jest turystyką czystą, a więc najzupełniej bezinteresownym zapokojaniem osobistej ciekawości świata dla nas jest czymś w rodzaju kursu terenowego. Oglądanie na własne oczy tego, co w biurkowym trudzie przybliżamy czytelnikom jest jakby nie było; wcale istotnym warunkiem, że użyje ogranego do niemożliwości terminu, dobrej roboty. W pierwszym rzędzie tłumaczom dedykował niedgdy Goethe owo zdanie, które potrafi cytować każdy pojętniejszy maturzysta:

„Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen“.

Stefana Flukowskiego i mnie, jako filologów i raczej tłumaczy poezji, przede wszystkim interesuje Rosja historyczna, zabytkowa, dzieł sztuki, Rosja wielkich pisarzy przeszłości. Marię Wisłowską tłumaczkę kilkudziesięciu powieści radzieckich — życie współczesne, w jego bardzo nawet drobnych, niepowtarzalnych realiach. Stara się wychwytywać również z rozmów jak najwięcej nieznanymi doświadczeniami i idiomów.

* * *

Wstępujemy ostrożnie na trzęsące się ze starości schody domostw-muzeów Lwa Tołstoja, Dostojewskiego, Czechowa. Pochylamy się nad różami w ogrodzie domku Majakowskiego. Nigdy bym nie przypuszczał, że ten rzeźnik krzyku w poezji, dynamitu w słowie, mógł, o tak, zwyczajnie hodować i wachać róże, jak dziecinistawiecki ziemiański esteta Afanasij Fet, czy dziśiejszy staruszek-emeryt na Teofilowie. Uchylają przed nami swe marmurowe wnętrza galerie: Tretiakowska i Puszkina. W nowo otwartym i ma-

ło jeszcze znanym w Moskwie muzeum starych ikon w murach przedmiejskiego klasztoru, w którym w XIV wieku żył i tworzył Andriej Rublow, natrafiamy na nieznaną, nie zanotowaną nawet przez Estreichera polonicum: bogato zdobiony ewangelista prawosławny, wydany w 1516 roku... w Krakowie. Na Kremlu w Uspeńskim Koronacyjnym Soborze zacieramy w ciemnozielonym obliczu brodatych archaniołów i świętych cudotwórców. Ci również wbiłają w nas ogromne oczy koloru smoły, rozszerzone od opatrywania się w niepojęte sprawy wieczności. Odczuwamy ukłucie irracjonalnego lęku, gdy stajemy nieoczekiwanie przed grobnicą Groźnego. Czerwonokrawcziasta wycieczka dzieci ze Smoleńska omal nie wypcha nas pod rzeźbione baldachy carskich tronów. Są trzy. Na tym nowszym od lewej wyobraźnia dorysowuje mi w powietrzu sylwetę smukłego mężczyzny w mundurze oficera gwardii z lat listopadowych. „Zmarszczył brwi — to tysiące kibitek wnet leci”. Mikołaj I w czasie odwiedzin „Białokamiennej” wysłuchiwał tu nieraz na stojąco uro-

Dalszy ciąg na str. 6

Najpiękniejsza pani Polski Historia kanikularna



Rys. J. Wiktorowski

Trzeba uciekać z łódzkiego, grząskiego upału. Choć na jeden dzień. Ale słońce rozpala dach samochodu i rozgrzana blacha promieniuje ciepłem, zdając się roztopić nasze mózgi. Brak tchu. Więc nasz sympatyczny kierowca wyrzuca po amerykańsku kolorową kożuszkę na wierzch spodni, ja wystawiam ramię za okno, próbując w rękaw schwycić trochę wiatru, nasz młody towarzysz podróży p. Wiktorowski na skutek kanikuły zapomniał zabrać bloku rysunkowego, musimy po niego wracać. Tylko jedna osoba czuje się w tym wrzasku dobrze, jest nim doświadczony podróżnik po wszystkich drogach i klimatach Europy, pani Hanna Małkowska, rada że nie musi się tego dnia dusić w saloopce obszytej futrem w roli pani Linde w „Anusie z Złotego Wzgórza”; jedzie sobie teraz w skarpateczkach, w wygodnych ciapatkach, chusteczce na głowie.

Kto ma siłę w taką spiekotę zwiedzać zabytki? Ja najmniej, ale słowo się (redaktorowi) rzekło, kobyłka u płota, za skutek nie ręczę, lecz idę... Idę trochę nieważnie przez dziedziniec radziwiłowskiego pałacu w Nieborowie będącego dziś muzeum, miejscem festiwalów, zjazdów i pracy twórczej, naukowców i artystów. Z nieco pustą od upału głową patrzę w sieni pałacu na znaną z poematu Gałczyńskiego „Niobe”, wykutą w IV wieku przed naszą erą przez rzymskiego rzeźbiarza w białym marmurze, podarowaną Helenie Ra-

Dalszy ciąg na str. 8

EDWARD SZUSTER

ŚLADY tamtego czasu

SZOSA z Opoczna do Radomia płynie szerokim pasem betonu z pagórka w dolinkę a z dolinki na następny pagórek, mijając po drodze suche laski, zielone łąki nad strumykami i piaszczyste pola zastawione kopami żętego zboża.

Co chwila mijamy lub sprzedamy chłopskie wozy drabiniaste wyładowane do granic możliwości snopami żyta. Na niebie nie widać najmniejszej nawet chmurki, słońce dźwiga się coraz wyżej i każe dygotać powietrzu nad szosą. Otwieramy wszystkie możliwe okna w samo-

Wydostajemy się spomiędzy zabudowań na sfalowane, pagórkowate pola. Teraz zsośa biegnie wśród drzew, wzgórze zamykające widnokrąg od wschodu zieleńią ciemną plamą przysuszkich lasów.

— Znasz tę drogę? — pyta mnie Tomasz który za kilkanaście dni zdawał będzie egzamin do szkoły oficerskiej.

— Znam — mówię z głębokim przekonaniem.

— Fajna droga — stwierdza Anka. — Wszystkie drogi powinny być wysadzone jabłoni. Czy i wtedy też tu rosły jabłonie?

Nie odpowiadam. Wystarczy spojrzeć na jabłonie aby zorientować się, że mają już dobrze ponad dwadzieścia lat. Rosły więc na pewno przy drodze wówczas gdy oglądałem ją po raz pierwszy. Patrzę jednak na nie tak, jakbym ich nigdy nie widział, jak na coś nowego na tej znajomej drodze. Zapomniałem o nich? Znow czegoś zapomniałem?

Zaczęło się od tego, że w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, w jakich okolicznościach po raz pierwszy dowiedziałem się o wybuchu powstania w Warszawie. W przybliżeniu — czas i miejsce umiałem ustalić bez trudu: pierwsze dni sierpnia gdzieś nad Pilicą między Przedborzem i Sulejowem, ale takie „przybliżenie” było niewystarczające. Miałem przecież odwiedzić te miejsca, w których byłem wówczas, gdy w Warszawie stały barykady, i zobaczyć, co się w tych miejscach teraz dzieje; trudno wybierać się do miejscowości bliżej niesprecyzowanych.

Próba określenia owego punktu na mapie i tej dąty nie dała rezultatu. Pewne nadzieje pokładałem w S. był on przecież wtedy dowódcą oddziału i prowadził jakieś notatki. Zawierzały się one jednak w ciągu tych

Dalszy ciąg na str. 3

Wydarzenia na dwóch przeciwległych krańcach Europy w Paryżu i Moskwie — zwróciły ostatnio uwagę opinii publicznej świata. Mowa tu oczywiście o XI konferencji prasowej prezydenta de Gaulle'a i wizytach w stolicy ZSRR: brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — Butlera i sekretarza generalnego ONZ — U Thanta. Jeśli jednak to drugie wydarzenie przyjęło na Zachodzie spokojnie — jako próbę poszukiwania rozwiązań niektórych trudnych problemów międzynarodowych (w toku rozmów z premierem Chruszczowem i min. Gromyko przewijała się przede wszystkim sytuacja w Laosie), po pierwszym — zawrzało w atlantyckim świecie, jak w przysłówowym ulu.

„Rozczarowanie”, „ubolewanie”, „oburzenie” — to chyba najczęściej powtarzane słowa, za którymi kryją się uczucia, jakie ogarnęły wschodnich i zachodnich sojuszników Francji.

„De Gaulle — pisze z wyraźnym rozdrażnieniem „New York Times” — zawsze umiał lepiej wskazywać palec na choroby świata i sypać sól na rany, aniżeli je leczyć...”

„Pressedienst” zaś wtóruje: „Prezydent Francji czuje się przywódcą wszystkich Europejczyków, jednakże stwierdził należy z całym respektem dla jego osoby, iż zabraknie mu ku temu podstawy prawnej”.
Cóż takiego powiedział de Gaulle, że

odgłosy W świecie

życia i samodzielnej roli”. („Aurore”)

Albo:
„Gen. de Gaulle przewidział niezbyt daleki okres, kiedy to USA nie będą już dłużej uznawane w formie bezpośredniej czy pośredniej za kierownika spraw Zachodu”. („Chicago Tribune”)

Interesujące, jak na te niedwuznaczne promowyje sojuszu bez Ameryki zareagowały Niemcy zach. — główny adresat słów prezydenta. De Gaulle zażądał przezeń od nich jasnego opowiedzenia się: z Francją, czy Stanami Zjednoczonymi...
Kancelarz Erhard — informując agencje — podobnie jak jego otoczenie czuje się wzburzony wystąpieniem de Gaulle'a.

Sekretarz stanu, rzecznik prasowy rządu NRF — von Hase odczytał na konferencji

Sól na rany... sojuszu ATLANTYCKIEGO

równocześnie wyprowadził z równowagi i polityków waszyngtońskich i bońskich? Prezydent zajął się głównie problemami międzynarodowymi, podejmując niemal wszystkie zasadnicze elementy obecnej, złej sytuacji, wykazał przy tym w niektórych kwestiach duży realizm.

I tak — zimnym prysznicem oblał rozpalone głowy rewizjonistów, podkreślając, że uważa granicę na Odrze i Nysie za nieodwracalną. Za złudne uznał także nadzieje polityków amerykańskich na rozstrzygnięcie problemu wietnamskiego przy pomocy wojny. „Trzeba — powiedział — doprowadzić do pokoju”. Zaproponował ponadto (jak śmiało) konferencję czterech dla rozwiązania problemu południowo-wschodniej Azji z udziałem Francji, Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i... Chińskiej Republiki Ludowej.

Jak na jedno wystąpienie — pasztecik dla Zachodu nie do strawienia.

To, co jednak najbardziej odczuły Waszyngton i Bonn — to przedstawienie, bar dziej niż kiedykolwiek otwarcie, koncepcji uczynienia z Europy kontynentalnej samodzielnej siły politycznej, która nie byłaby „podporządkowana” Stanom Zjednoczonym.

„Europa powinna przejąć swoją część odpowiedzialności”, być „sama sobą”.

Co miał na myśli de Gaulle — ni trudno odgadnąć. Z łatwością więc przyszło komentatorom prasowym postawienie kropki nad „I”.

„Dziś podział świata na dwa obozy jest już nieaktualny. Europa pojawiła się... jako jednostka zdolna do samodzielnego

prasowej oświadczenia, które stwierdza, że „polityka niemiecka nie jest uzależniona ani od Stanów Zjednoczonych, ani też od Francji... Wspólna polityka dwóch rządów nie może oznaczać przyjęcia wszystkich poglądów partnera...”

Von Hase nie powiedział wprawdzie wprost tego, co myśla politycy bońscy, lecz ni trudno to dopowiedzieć: nie zaryzykujemy związku przeciwko USA.

Oto, co pozostało z traktatu francusko-niemieckiego. A przecież zaledwie przed 18 miesiącami w tysiącach egzemplarzy kolportowano zdjęcie z braterskim pocałunkiem, jaki wymienili między sobą de Gaulle i Adenauer po podpisaniu układu elzejskiego!

Flirt był więc krótkotrwały i zmlerch „wiecej przyjaźni” przyszedł szybciej niż oczekiwano.

Wypowiedź de Gaulle'a już nie raz wprawdzały w zakłopotanie polityków Waszyngtonu i Bonn. Tym razem jednak kłótni goryczy został dopełniony.

Kolejny cios bowiem wymierzony został w chwili, gdy horyzont atlantycki przysłoniła chmura goldwaterowska, mogąca skłaniać niektórych europejskich sojuszników USA do poparcia wypowiedzianego wcześniej przez prezydenta sądu, że Ameryce nie można ufać, trzeba się więc uniezależnić.

Świadomość tego w Stanach Zjednoczonych i Niemczech zachodnich zastrza reakcję na i tak gorzkie dla nich słowa gen. de Gaulle'a.

W. SŁAWSKI

Harlem: nienawiść i nędza

Harlem został założony na wyspie Manhattan w XVII wieku przez Holendrów. Po czątkowo stanowił farmerskie osiedle, następnie zmienił się w dzielnicę ekskluzywną Nowego Jorku. U schyłku XIX wieku Harlem przeżywał taki rozkwit, iż ówczesna prasa pisała — właśnie tu w starym i czcigodnym Harlemie mieści się amerykańska stolica mody, bogactwa i kultury”.

Ale jest to czas narastających konfliktów rasowych. W Nowym Jorku, zdarzają się coraz częstsze pogromy i lynce, w jednym z nich ginie aż 18 Murzynów, w innym dochodzi do podpalenia przytułku dla czarnych dzieci. W tych warunkach ludność murzyńska szuka schronienia w odległych i zda się spokojnych dzielnicach. Zaczyna się „czarne zasiedlanie” Harlemu, od początku trudne i pełne konfliktów. Jednocześnie dzielnicą gwałtownie ubożeje biała ludność masowo się z niej wyprowadza. W czasie I wojny światowej Nowy Jork potrzebuje taniej siły roboczej i miliona masa Murzynów z Południa rusza na Północ. W krótkim czasie Harlem zmienia się w czarną dzielnicę.

Konflikty rasowe z latami coraz bardziej się zaostrzają. Harlem jest widownią gwałtownych zajść, w 1935 roku

w starciach z policją giną 4 osoby a 100 osób zostaje rannych. W 1944 roku policja za bija 5 Murzynów, około 500 rani. Takie wybuchy gniewu i nienawiści są rezultatem prawnej i ekonomicznej sytuacji Murzynów. I dziś w Harlemie wśród ludności murzyńskiej na cztery osoby jed na jest bezrobotna, zarobki są tu niższe o 30 proc. Natomiast koszty utrzymania dzięki powiązaniom przedsiębiorstw handlowych i właścicieli domów są wyższe niż gdzie indziej. Tak np. za nędzną izbę trzeba tu płacić od 50 do 75 dolarów miesięcznie, podczas gdy w slumsach innych dzielnic Nowego Jorku taka izba kosztuje tylko 30 do 40 dolarów. Tak więc wypadki w Harlemie mają swe źródło również i w dyskryminacji ekonomicznej Murzynów.



James Baldwin
Rys. Clifford Croys

Harlem: prawo czarnego człowieka

Ostatnie wypadki w Harlemie zaczęły się od typowego incydentu. Policjant Thomas Gilligan został jakoby zaatakowany przez 18-letniego chłopca murzyńskiego. Gilligan twierdzi, że chłopak rzucił się na niego z nożem w ręku. „Strzeletem w obronie własnej”. Chłopak zginął na miejscu, a tłum zareagował tak gwałtownie, że wielogodzinne zajścia zakończyły się masowymi aresztowaniami.

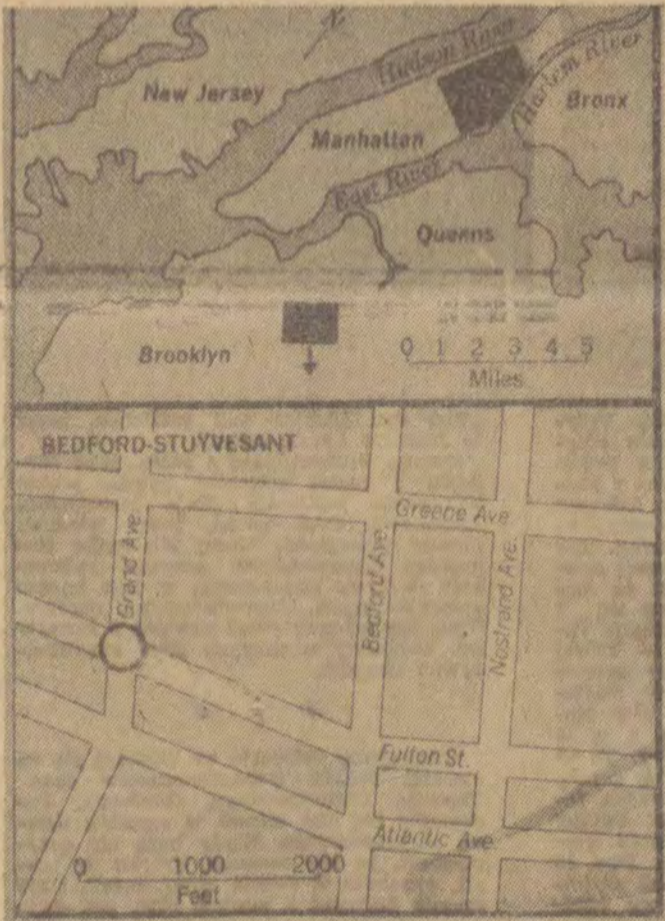
mi, wiele osób zostało ciężko rannych, straty materialne sięgają miliona dolarów.

Po zajściach stwierdzono, że Gilligan był wielokrotnie nagradzany za rozbrojenie groźnych bandytów. Czy więc naprawdę nie mógł sobie poradzić z 18-letnim chłopcem bez użycia broni palnej?

Gilligan strzelał trzykrotnie. Już pierwsza rana była śmiertelna, ale do leżącego na ziemi chłopca strzelił jeszcze dwa razy.

Policja nie zdołała udowodnić, że zabity miał istotnie noż w ręku. Świadkowie twierdzą, że chłopak był bezbronny.

Faktem jest, że w Nowym Jorku niemal codziennie ginie z rak policjanta Murzyn. Policja zawsze wtedy twierdzi, że stało się to w obronie własnej.



Harlem: „Czarne getto” ○ Miejsce zajść

James Baldwin o Harlemie

Ten wybitny przywódca i pisarz murzyński w udzielonym ostatnio wywiadzie powiedział m. in. — „Ameryka przez rasizm doszła do tragicznego punktu zwrotnego swojej historii. I oto grozi nam zupełny społeczny i moralny chaos. Tej katastrofie zapobiec może tylko nadanie pełnych praw obywatelskich Murzynom — zarówno w teorii, jak i w praktyce. Oby Harlem stał się alarmującym sygnałem! To blisko półmilionowe skupisko Murzynów znajdujących się w sytuacji bez wyjścia. Cóż dziwnego, że ta masa ludzka stanowi groźny materiał wybuchowy. Harlem, to nie Północ, to coś jeszcze gorszego. Tu, na Północy pod pozorem liberalizmu konflikt rasowy nabiera wszelkich cech walki klasowej. Murzyn jest ekonomicznie wyzyskiwany i pozbawiony praw. Gdy się o nie upomni, policja strzela bez ostrzeżenia. Biali zepchnęli nas do getta i nie waham się Harlemu określić jako współczesnego obozu koncentracyjnego.”

POLONICA

POLA NEGRI NA HORYZONCIE

Gazety zachodnie doniosły, że znana aktorka Pola Negri, która w okresie międzywojennym odniosła olbrzymie sukcesy, najpierw w filmie niemieckim, a potem i dwujęzycznym, po przeszło dwudziestoletniej przerwie wystąpi w filmie Walta Disneya pt. „The Moon Spinners”. Przypomnijmy, że Pola Negri, zwana wampem filmu niemieckiego („Femme fatale”), jak nazywali ją Francuzi) wystąpiła już w 1914 roku w filmie, który znany jest w historii filmu pod kilkoma tytułami: „Niewolnicy zmysłów”, albo „Polska tancerka”, albo wreszcie „Miłość i zdrada”. Potem przychodzi

dalsze filmy: „Carmen”, „Raj utracony”, „Oczy mumii Ma”, „Sumurun”, „Madame Dubarry” i wiele, wiele innych. Pola Negri pochodzi z Polski i nazywała się właściwie Barbara Apolonia Chalupiec. 31 grudnia br. będzie ona obchodzić 70-lecie swoich urodzin. Gazety, które o tym doniosły, zastrzegają się, że ta data wcale nie jest pewna. Być może, Pola Negri jest nieco starsza.

POLSKIE POZYCJE KONCERTOWE W WIEDNIU

W programie Towarzystwa Filharmonii Wiedeńskiej zapowiedziano na sezon 1964-65 występy wybitnych artystów

europejskich. Z Polaków wystąpią: w cyklu pierwszym orkiestrowym — Stanisław Skrowaczewski jako dyrygent wie deńskiej orkiestry symfonicznej, w cyklu trzecim solistów — Wanda Wiłkomińska, znana skrzypaczka o rozgłosie światowym.

NÓWOSCI POLSKIE W NRF

Poważna firma wydawnicza w Monachium, Carl Hanser, znana z tego, że publikuje przekłady pisarzy polskich, w swoim arkuszu zapowiedzi podaje, że jesienią b. roku ukaza się dwie następujące pozycje polskie: „Polnische Poesie des 20. Jahrhunderts” (Polska poezja dwudziestego wieku) oraz zbiór opowiadań Bruno Schulza „Vater geht unter die Feuewehrmaenner” (Ojciec zaciąga się do straży ogniowej). Autorem przekładów poetyckich jest znakomity tłumacz poezji polskiej Karl Dedecius, wspomniana

antologia zawierać będzie 130 wierszy 40 poetów od Leopolda Staffa do Tadeusza Różewicza. W zapowiedziach czytamy: „Kto przeczyta te wiersze, przekona się, że polska poezja współczesna jest polska i uniwersalna zarazem. Oczywiście są jej związki artystyczne z ruchami naszego stulecia — zarówno z Zachodem jak i ze Wschodem — a ona sama, w szczególności dzięki podejmowaniu i kształtowaniu problematyki i orzeczeniu ostatnich dziesięcioleci, stanowi ważki element dzisiejszej literatury światowej”. Tom Schulza zawierać będzie osiem opowiadań, przełożonych przez Josefa Hahna. W zapowiedziach czytamy: „Po międzynarodowym sukcesie „Sklepowy cynamonowych”, za prezentujemy obecnie dalsze utwory genialnego pisarza polskiego w języku niemieckim”.

POLONICUM POPRAWIONE

W numerze siódmym (lipiec 1964) znakomicie redagowane

go miesięcznika „Polska” znajduje się następująca notatka: „Stefan Rożka, znawca literatury polskiej (autor książki „Współczesna literatura polska”), przełożył na język słowacki „Medallony” Zofii Nalkowskiej. Wszystkie w tej notatce się zgadza, z wyjątkiem jednego: nazwiska i pici. Otóż nazwisko brzmi Stefa Rożka i jest to kobieta, a nie mężczyzna, jak wynika z notatki w „Polsce”. Dodajmy przy sposobności, że jej „Współczesna literatura polska” doprowadzona jest do lat pięćdziesiątych naszego wieku. Zdaje się, że takiej książki nie mamy nawet u nas, w kraju.”

POLSCY MALARZE W PARYŻU

W lipcu br. w paryskiej „Galerie Laclouche” na placu Vendome wystawiają malarze: Banc, Cremonini, Gierowski, Kantor, Kuchmeister, Lebenstein, Le Vitt, Lucebert, Mabe, Nikos, Pellevski, Pinoncelli, Pomat, Potworowski.

W „Galerie Lambert” (Saint Louis-en-l'île) wśród malarzy i rzeźbiarzy takich jak Csernus, Unwin czy Dallos, eksponują swoje prace: Szapczynska, Ładniewska, Lebenstein. Pośród nich znalazły się także prace Nikifora.

POLONICA

Ś L A D Y

tamtego czasu

Dalszy ciąg
ze str. 1

dwudziestu lat a pamięć S. była równie „dokładna” jak i moja. Wiedziałem tylko, że było to w rejonie... około... Nie byłem tym zbytnio rozczarowany; ostatecznie skoro S. mógł zapomnieć, że kilkanaście lat temu skazano go na śmierć, że przesiedział dziesięć lat w więzieniu — skoro, powiadam, zdołał wyswobodzić się od ciężaru takich wspomnień, to nie dziwnego, że nie pamięta gdzie i kiedy dowiedział się o wybuchu powstania. Ostatecznie dla niego — i dla mnie też — wiadomość ta w owym czasie była i wzruszająca i niezwykła — ale była tylko nowina. W naszym powszednim bytowaniu niczego nie odmieniała, nie uwalniała nas od żadnego z kłopotów, których mieliśmy pod dostatkiem. Dzień przed otrzymaniem tej wieści i dzień po jej otrzymaniu niczym się od siebie nie różniły — zrozumiałe że upodobniły się one w naszych wspomnieniach. Oto dlaczego zamiar odwiedzenia miejscowości w której po raz pierwszy usłyszałem o powstaniu okazał się nierealny. Postanowiłem więc wybrać się tam, gdzie przed dwudziestu laty spotkałem pierwszych — potem spotykaliśmy ich cztery razy częściej — warszawskich powstańców.

Jedziemy więc po owej szosie, którą — jak zapewniałem — znam doskonale ale o tym, że obsadzona jest jabłonią — zapomniałem. Tłumacze sobie, że nie ma w tym nic dziwnego; przed dwudziestu laty nie zwracaliśmy uwagi na to czy przy szosie rosną jabłonie czy klony. W ogóle szosa ta nie była dla nas obiektem użytkowania lecz przedmiotem obserwacji. Z biednej wsi położonej na obrzeżu lasów przysuskich mieliśmy ustalić ile samochodów przejechało w stronę Końskich a ile w stronę Opoczna. W tych samochodach mogli jeździć tylko Niemcy. Na widoczne już do-

brze lasy patrzyli pewno z niepokojem; trudno wyobrazić sobie by nie wiedzieli, że siedzi w nich kilkuset „bandytów”. Wspominam o tym moim towarzyszom podróży.

— Wiedzieli, że tam jesteście i nie zaczęli was? — dziwi się Tomasz.

— Nie zaczęli bo wówczas było ich w terenie mało — odpowiadam. — Ale jak tylko uporali się z Warszawą to się do nas dobrali.

Wjeżdżamy na nowe wzniesienie i z jego wierzchołka spostrzegam w odległości kilku kilometrów wieżę kościoła w Gowarczowie. I znów uświadamiam sobie, że coś jest nie w porządku. Z owej wsi, w której obserwowaliśmy szosę, Gowarczowa widać nie było, musieliśmy więc zostawić ją już za sobą. Jak mogłem ją przegapić? Przecież pamiętam doskonale widok z naszego punktu obserwacyjnego na porośniętym krzakami wzgórzu; szosa wylała się zakretem z zabudowań wsi i biegła u stóp wzgórza prostą linią aż po kopę drzew nad strugą. W tej chwili uświadamiam sobie, że nigdy nie zdarzyło mi się patrzeć z szosy na wzgórze; kierunek obserwacji był akurat odwrotny. Ktoś, kto zna tylko widok z okna domu, niełatwo rozpoznaje w fasadzie tego domu okno, z którego spoglądał.

— To tu — mówię wskazując na pierwszy pagórek, jakkolwiek pojawił się po lewej stronie drogi, miałem bowiem nieostrożność zapowiedzieć moim towarzyszom podróży że pokażę im owe pamiętne dla mnie miejsce. Z ulgą stwierdzam, że nie robi ono na nich większego wrażenia, proponuję abyśmy wstąpili do Gowarczowa, gdzie będzie chyba można napić się czegoś w gospodzie. Postanawiam jednocześnie nie szukać już miejsca, w którym spotkałem pierwszych warszawskich powstańców. Nie sadzę aby udało mi się je znaleźć, choć wiem, że jest ono gdzieś na skrzyżowaniu dróg w tych śnieżających na wschodzie lasach. Nasze oddziały szły na północ na nowe kwatery, oni przyszli z południa i dążyli

dalej na południe, w samo serce tych lasów. Zdaje się że bardzo chcieli zapasać



Warszawa, sierpień 1964 r.

Foto: Wojciech Palmowski

gdzieś głęboko w las, by odpocząć, odetchnąć po uciążliwej drodze. Mieli za sobą ze dwieście kilometrów marszu — z Warszawy pod Pruszką — wśród ciągłych utarczek. Dwóch z nich spotkaliśmy w naszych szeregach przy jaciół zostało z nami. Od nich usłyszeliśmy po raz pierwszy jak wyglądały pierwsze dni powstania na Ochocie. Potem rozumieliśmy już dalsze rzeczy. Po wiadomościach o powstaniu z Londynu nadawany jest chorał zaczynający się od słów: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...” Spotkaliśmy tych powstańców — jak wspominałem — w lesie a wiem dobrze jak zmienia się leśny pejzaż w ciągu dwudziestu lat: zagajniki przemieniają się w wybujałą dragwinę, na miejscu starodrzewia zjawiają się świeżo zalesione poręby — polap się człowieku czy byłeś tu kiedyś czy nie.

W Gowarczowie nie było gospody; był tylko bar „Pod Jaworem” a w barze, jako jedyny napój bezalkoholowy — woda mineralna. Dwaj szoferzy ciężarówki PKS zdecydowali się widocznie na tę wodę mineralną, bo stali przy barze z bardzo zadowolonymi minami. Nam ten napój nie wydawał się interesujący; skrzynki z butelkami stały nieopodal okna w pełnym słońcu. Połaziłszy przez chwilę po osadzie; oglądałem ją tak jakbym tu nigdy nie był i znów nie mogłem zrozumieć skąd bierze się to wrażenie. Dopiero po kilku chwilach przypomniałem sobie, że naprawdę nigdy nie miałem okazji widzieć Gowarczowa w dzień, chociaż po ryneczku i uliczkach w pełnym słońcu. W tamtym czasie bywałem tu w nocy, przekradając się ukradkiem za stodołami lub pospiesznie przemierzając uliczki tak by jak najprędzej znaleźć się w polu. Nie mieliśmy zaufania do wsi czy osad leżących przy głównych szosach i w wypadku Gowarczowa przesąd ten okazał się słuszny:

Kiedy jesienią nasze oddziały przechodziły z lasów przysuskich do białaczowskich natknęły się w tej osadzie na oddział Wehrmachtu, który nie uszanował ciszy nocej i dobrze nas popędził.

— Jak to było? — pyta Tomasz, a ja znów nie umiem zaspokoić jego ciekawości, gdyż nie było mnie wówczas w Gowarczowie i całą historię znam tylko z opowiadań kolegów. Coraz wyraźniej zaczynam zdawać sobie sprawę, że jako przewodnik po tych terenach sprawiam moim towarzyszom podróży zawód, gdyż nie potrafię ani pokazać im czegoś

Nie znaleźliśmy ani bezdroży, ani zagubionych wsi. Tylko między Białaczowem, a Sobieniem wpakowaliśmy się w lesie w jakieś piachy, przez które trzeba było przepchać maszynę, ale już o kilometr dalej wleczaliśmy na wcale niezłą, świeżo budowaną drogę. Za rok dojdzie ona do Białaczowa i nikt już nie będzie utykał tu w piachu. Niemniej przygoda ta poprawiła znacznie humor moich towarzyszy, a mnie pozwoliła wyjaśnić im, czemu w tamtym czasie czuliśmy się w tych okolicach swobodnie.

Droga z Gowarczowa do

notatki na marginesie

MIKROBUSIE

Nocny stróż banku w Dublinie zaskoczył dwóch złodziei, którzy korzystając z przerwy obiadowej pracowników, schowali się za kasą, a następnie ukradli z niej 80 funtów szterlingów, po czym gotowali się do ucieczki. Zalarmowana policja przewiozła ich do komisariatu, skąd po spisaniu personaliów, iżby literze prawa stało się zadość, i solidnej reprimendzie odstawiła obu rabusiów do rodzinnych domów. Pierwszy z nich miał pięć lat, drugi sześć.



NIE ZOBACZA

Jasnowłosa Toni Lee Shelley, która w ubiegłym tygodniu wzbudziła sensację na plaży w Chicago, pokazując się w kostiumie kąpielowym bez górnej części, stanie przed sądem. — „Nie zrobię sędziom przyjemności, jaką mieli plażowicze w ubiegłym tygodniu, oglądając mnie w modnym kostiumie kąpielowym. Z całą pewnością będę całkowicie osłonięta” — oświadczyła nadążająca Venus z Chicago.

WŁOSY TO PIENIĄDZ

— „Paryż nas zawiódł. Powiedziano nam, że rodzice nie puszczaćają dziewcząt na nasze występy. Chłopcy nie krzyczą tak głośno. Sami musieliśmy słuchać naszego śpiewu” — oświadczył dziennikarzem George Harrison, jeden z „Beatlesów”, którzy kilka dni temu przybyli na występy do Sydney. John Lennon, sam szef nieletnich śpiewaków angielskich wyznał w sekrecie, iż moda na „Beatlesów” potrwa jeszcze najwyżej dwa lata. — Ale w tym czasie zapewnimy sobie przyszłość materialną” — powiedział szef. I dodał: „Choć, prawdę mówiąc, to już nastąpiło”...



GROŹNY KONKURENT

Dość już w elektronice cyfrowej żonglerki. Czas wziąć się do poezji. Właśnie! Na uniwersytecie w Tallahassee, w Szwajcarii, wypisano już nawet receptę: do maszyny elektronicznej IBM-709 wprowadzono nazwy, czasowniki, rzeczowniki, przymiotniki, przyimki, spójniki i zaimeki. Naciśnięto guzik. Poszły w ruch elektroniczne urządzenia. I oto po ulamku sekundy otrzymaliśmy pierwszy „elektroniczny poemat”: „Zaśmienie, drzewa spokojne — Pograżyły się w uśpionym słońcu — Tymczasem serce słuchało — Wartki księżyc zatrzymał się cichutko — ...”

EDWARD SZUSTER



Warszawa, sierpień 1944 r.

Foto: Henryk Smigacz



Na kwaterach w Rudce Starościańskiej. Od lewej stoją: Włodzimierz Czapiga — dowódca oddziału radzieckiego, Mieczysław Moczar — „Mietek” — dowódca obwodu II AL, radziecki partyzant (nazwiska nie ustalono) i Mikołaj Kunicki „Mucha” — dowódca oddziału partyzanckiego (pow. Lubartów, czerwiec 1944 r.).

RYSZARD KLIMCZAK

GOLEM PANIE PUŁKOWNIKU

N ledtugo mnie trzeba było przekonywać. Uległem namowom bez większego oporu. Snuć wspomnienia? Tym trudniejsze, że przede wszystkim adresowane do rówieśników ludowej Ojczyzny, a więc do tych, którzy szczęśliwie nigdy nie styszeli świstu kul, jazgotu karabinów maszynowych, wybuchów bomb i granatów, dla których słowo okupacja jest po prostu rzeczownikiem liczby pojedynczej, kategorią gramatyczną?

Trudno nie być zażenowanym, gdy wypadnie mówić o żołnierskim trudzie, o przelanej krwi, teraz, gdy jej cena bardzo spada a podrożały inne wartości — praca, twórczy wysiłek rąk i mózgow.

Było lato 1944 roku. Na wschód od Wisły toczyły się zaciete bitwy o każdą piędź ziemi, wydzieranej hitlerowskiemu okupantowi rękoma czerwonoarmistów i żołnierzy I Armii Wojska Polskiego. Na lewym jej brzegu oddziały partyzanckie gromiły Niemców z zasadki i w otwartych walkach.

Na Świniej Górze, w Puszczy Jodłowej, zaszył się w chaszczach sztab III Obwodu Armii Ludowej. Stąd, wychodzący do oddziałów partyzanckich, działających w różnych rejonach Ziemi Kieleckiej, rozkazy dowódcy III Obwodu AL podpułkownika Moczara. Radiotelegrafici sztabu nadawali do Naczelnego Dowództwa WP

i Głównego Sztabu Partyzanckiego meldunki o ruchach nieprzyjaciela, o sytuacji na bezwzględnie zapleczu frontu, i sukcesach wojny partyzanckiej.

Stąd wreszcie wychodziły lakoniczne wezwania: „Rozsna nasze szeregi, potrzebujemy broni, amunicji i materiałów wybuchowych na wyzerpaniu. Prosimy o zrzut”. Oznaczało to jednocześnie, że zwiększyła się liczba wysadzonych mostów i torów, ostrzelanych pociągów pędzących na wschód ze sprzętem wojennym, zlikwidowanych garnizonów żandarmerii i Wehrmachtu. Nikt nie strzelał dla zabawy.

Chleb utracił znaczenie artykułu pierwszej potrzeby

zrzutowy „samograj”, niezawodny w akcji.

Podpułkownik uśmiechnął się. — Spocznij! — powiedział.

Komenda, wyrażona nawet nie rozkazującym tonem, posiadała przemożną siłę. Automatycznie wysunąłem lewą stopę do przodu.

— To tak wygląda legendarny dowódca lubelskiej partyzantki — konfrontowałem — który gromił do niedawna hitlerowców w lasach parczewskich i janowskich. A teraz z nami. Nas teraz poprowadził od bitwy do bitwy.

Wysoki, szczupły. Skrócona w kędziory czarna czupryna. Był bez czapki. Opięty mundur, bryczesy i wy-

by, nieraz wypadło bez niego się obejść. Nie mogło jednak braknąć amunicji i granatów.

Przypominam sobie kryptonim, którym posługiwałem się w konspiracyjnym meldunku do dowódcy rejonu. Szyfrowym oznacznikiem amunicji było słowo „groch”. Szkoda, że nie ma na.

Z niepokojem oczekiwaliśmy zawsze „manny z nieba”.

Miś — ideowy przywódca naszej grupy z żarliwością komunisty odwołujący się do socjalistycznej przyszłości wolnej Polski, której orędownikiem była walcząca PPR — prowadził nas do Sztabu.

Druga była daleka. Pełna niebezpieczeństw

Zdawało mi się, że wiekowe jodły i modrzewie w pas nam się kłaniają.

Powstań! Maszerować! Z pleśni czerpalimy nowe siły.

„Za polskie siła, lany, swe życie warto nieść. Niech żyje wódz kochany...”

Czołem chłopcy!

Czołem, obywatelu pułkownik!

Byłem już „dobrze ostrze lany” partyzantem, nie raz już powahałem prochu ale stałem przed dowódcą z uczuciem niepokoju. Może to był sztabacki lek przed egzaminatorskim spojrzeniem? Chciałem się przecież zaprezentować jak najlepiej.

No cóż, nie byłem okazały. Zaden osilek. Stąd może hołdowałem nieco metafizycznej zasadzie, że hart ducha bardziej się liczy niż siła fizyczna. Tylko, że ten hart jest trudno dostrzegalny. A pierwsza ocena żołnierza jest z reguły jednoznaczna, pierwsze wrażenie — silny lub słaby. Pewnie więc był to lek przed jednoznaczną oceną dowódcy.

Stalem wyprostowany i onieśmielony. W lewej ręce ścisnąłem lufę, w prawej — kolbę przewieszoną przez pierś pistoletu. Radziecki,

sokie buty jeszcze bardziej wysmuklały sylwetkę. Pasy koalicyjki, sprężone ciężarem pistoletu na pasie głównym, opinały tors.

Na twarzy, przy każdym słowie, przy każdym uśmiechu głęboko zarysowywały się mimiczne bruzdy, schodzące w dół, aż poza kąciki ust. Głos miał przytłumiony, twardy. Mówił cicho, ledwie poruszając wargami.

— Młody człowiek — skonstatowałem w myśl trochę zdziwiony. Jakby to było nieprawdopodobne. Przecież logiczne. Młoda armia, młody dowódca, młodzi, nieraz bardzo młodzi żołnierze. Wyrostki. Chwilami blęszące śmiech z takiego wojska.

Stalem przed pułkownikiem Moczarem urzeczony jego postawą, jego żołnierską sławą. Dotarła już tu, do nas. Odczytywało się ją w tamtych czasach (inaczej niż dziś, powiedziałbym — ahistorycznie. Skroni dowódcy nie barwił świeżozielona laur zwycięstwa. Sława utożsamiała się z bojowym doświadczeniem, pokonywaniem trudów partyzanckiej walki, z umiejętnością kierowania jej skomplikowanym mechanizmem. Był to wysoko cenione wartości.

Czego się domyślał pułkownik, gdy stałem wpatrzony w niego, nie wiem. Rozesmiał się w pewnej chwili i wyciągnął wąską mocną dłoń.

— To także „łodziak” — zaprezentował mnie Miś.

Pułkownik ożywił się. — Tośmy krajanie.

Racja. Wiedziałem przecież z opowiadań Miśla, że pułkownik Moczar jest łodzianinem.

I choć w kielecką ziemię już głęboko zapuściłem korzenie, i doznałem wiele ludzkiej przyjaźni na tej ziemi, to ciągle jeszcze sam dźwięk słowa — Łódź, sprawiał, że do serca napływała fala ciepła. Pożulem się raźnie.

Usiedliśmy na pniu poważnego drzewa. Dołączyli do nas inni. Pułkownik wypytywał, gdzie chodziłem do szkoły, w jakiej mieszkałem dzielnicy, co umiem i jakie mam plany na przyszłość. Jakby rozmowa na temat życiowych planów, tu, w lesie, gdzie każde jutro niosło niewiadomą, była czymś bardzo naturalnym.

Pułkownik był pewien swego. Interesował się wszystkim.

Stopniowo opuszczało mnie napięcie. Niespostrzeżenie, odpowiedzi na pytania przemieniły się w bepośrednią rozmowę, a nawet więcej — w zwierzenia. Rozgadałem się.

Pułkownik wyraził zadozwolenie, że ukończyłem gimnazjum na konspiracyjnych kompletach nauczania. W zakresie wiedzy wojskowej także nie byłem zielony.

— To dobrze, będziesz szkolił innych — powiedział. Wszystkim chłopcom z lasu mówił ty.

Za plecami dowódcy stanął jego kasztanek. Miał srebrną gwiazdkę na czole.

— Taki koński podporucznik — skojarzyłem. Skubnął łokieć. Może dopraszał się cukru. Gdzież by tam. Skąd w lesie cukier.

Coś mi strzeliło do głowy. Zapragnąłem dostać konia pułkownika. Poprosiłem o pozwolenie.

Moje życzenie musiało z pewnością wydać się dowódcy bardzo naiwne. Musiało go rozbawić. Może pomyślał: takiemu w głowie konik, szabelka, ulańskie harc. Zabawa w wojsko. A dookoła czai się śmierć. Jak takich prowadzić w bój?

Może tak pomyślał, a może nie. Uśmiechnął się i zezwolił.

Gdy już siedziałem w siodle wykrzyknął wskazując kierunek: — „Jedź tylko tym duktem. Reszta dróg zaminiowana”.

Mineło wiele trudnych, ciężkich tygodni. Z marszu w bój, z boju w marsz.

Utrudzeni i mocno nadwyrężeni bitwą pod Gruszką, odpieraliśmy ataki Niemców na Wykusie, dokąd pomaszerowała na zgru powanie siły partyzanckich Armii Ludowej nasza Brygada.

Powstrzymaliśmy zmaszowaną ataki niemieckiej tyraliery, wspieranej ogniem dział i moździerzy. Jednakże siły nasze słaby. Sytuacja była poważna. Niemcy wdarli się do lasu.

Na rozkaz pułkownika Moczara, znakomicie przemyślanym manewrem oskrzydłaliśmy ruszyli do przeciwnatarcia nasza Brygada. Inne oddziały wiazały ogniem nieprzyjaciela. Manewr udał się. Przeciwnatarcie było skuteczne. Szurm mowim oskrzykiem — hurra — zahuczał wysokopleny bór. Kanonadę ogniową ustokrotniło echo.

Wyparliśmy hitlerowców z lasu. Porzucając sprzęt i broń uciekali w popłochu. Goniliśmy ich nekajac ogniem broni maszynowej na odcinu paru kilometrów. A potem...

To było moje drugie spotkanie z podpułkownikiem Moczarem. Jeszcze rozgrzani bitwą, rozpromienieni zwycięstwem, w zwartym szyku staliśmy na baczność. Przed frontem pojawił się pułkownik. Przyjmoł meldunek od dowódcy Brygady.

Patrzyłem na niego już inaczej. Jak na kogoś bliskiego.

Pe chwilę przemaszerał wzdłuż zagiętego skrzydła. Zatrzymał się. Twarz przybrała surowy, ostry wyraz. Wyczułem w nim nierozważane jeszcze napięcie niedawnego dowodzenia całym zgrupowaniem, w zwycięskiej bitwie.

Mówił donośnie, wyraźnie skandując słowa. Kończył: „Druga Brygada, żołnierskim czynem, męstwem i brawurą udowodniła, że Krzyż Grunwaldki nie darmo zdobi sztandar Brygady”.

— Ku chwale ojczyzny, obywatelu pułkownik! — wykrzyknęliśmy pełni dumy.

KODZIANIE

Podróżują

MARIUSZ SŁOMCZYŃSKI

— Mój „dziennikarski nos” kazał mi zadzwonić do pańskiej mamy, z którą już dawno nie rozmawiałam. I co się okazało? Wrócił Mariusz. Po dwuletnim pobycie w Tunisie.

— Wrócił i ma zamiar zabrać się do pisania reportaży.

— Czy to oznacza, że dla mnie nie „skapnie” już nic na wywiad?

— No, coś niecoś.

— Z wyrozumiałością człowieka piszącego rezygnuję więc z pytań. Proszę mówić według własnego „planu”. Tylko chciałabym jeszcze wiedzieć, co to za pocztówka na którą patrzy Pan ciągle i uśmiecha się?

— Proszę bardzo.

— Krzywa wieża w Pizie?!

— Ano właśnie. Ona to wzbudziła we mnie, przed wielu jeszcze laty, chęć podróżowania. Kiedy w czte-

ry lata po zakończeniu studiów mogłem wybrać kraj dla kontynuowania badań naukowych, poszperałem trochę w moim dziesięciu biurku, znalazłem tę pocztówkę z wieżą w Pizie i postanowiłem pojechać do... Tunisie.

— Obiecałam nie zadawać dalszych pytań...

— Mój wujek, z wykształcenia inżynier — z zamiłowania archeolog, opowiadał mi zawsze najdziwniejsze rzeczy jakie kiedykolwiek wydarzyły się na świecie. Pamiętam, że jak miałem siedem lat to strasznie się martwiłem o tę krzywą wieżę, że się przewróci. A wtedy wuj powiedział: —

nie martw się kochany, ona jest zrobiona z najznakomitszego surowca, jaki można sobie wyobrazić — z gruzów samej Kartaginy. Jak tylko pojechałem do Tunisie, zaraz zacząłem rozpytywać o tę historię. I okazuje się, że krzywą wieżę w Pizie istotnie tęczą z Kartaginy.

Kraj Hannibala jest piękny i niepokojąco ciekawy. Obok ruin Kartaginy zaczynają się pojawiać dzieła sztuki z prowincji — już bez kwefu.

Rzymianie, można powiedzieć, „urządzili” Tunis na wiele tysięcy lat. Po prostu wierzyć się nie chce, ale faktem jest, że w Tunisie

po dziś dzień korzysta się z niektórych map sporządzonych jeszcze przez Rzymian.

W Tunisie każdy kto kopie ziemię, wszystko jedno w jakich celach: naukowych, czy też po prostu... gospodarskich, może znaleźć kawałki rzymskiego, autentycznego marmuru. Amerykańscy turyści, sam widziałem, wypakowują zachłannie wszystkie swoje kieszenie cząstkami rzymskich rzeźb i posągów znalezionych na trasach wycieczek.

I jeszcze, na zakończenie, o sprawach religijnych. Byłem przynajmniej trochę zaskoczony, kiedy w Kairuanie —

jednym z najświętszych dla muzułmanów miejsc, zobaczyłem wchodzących do meczetów cudzoziemców i tubylców nie odających się bynajmniej modłom do Mahometa. Myślałem, że to jakieś niedopatrznie, że za chwilę wybuchnie wielka awantura. Ale sprawa wyjaśniła się w krótkiej rozmowie z Tunezyjczykami. Otóż Francuzi wchodzą do Tunisie wdarli się również z bronią w rękę, do meczetów. Zdaniem Tunezyjczyków była to największa profanacja. Dlatego nawet niewierni mają dziś otwarte drzwi meczetów.

Rozmawiała: H. B.

Zbigniew Kowalewski

Płomień wojny narodowo-wyzwoleńczej ogarnął tereny Konga równie obszarowi Francji. W prowincji Kiwu oddziały partyzanckie Narodowego Komitetu Wyzwolenia po zaciętych walkach z wojskami rządowymi opanowały całą prowincję i odcięły od świata jej stolicę Bukawu. W północnej Katandze — ziemi walczącego ludu Baluba wslawionego tragiczną wojną partyzancką z żandarmerią Czombego — po kilkudniowym powstaniu w Albertville krwawo stłumionym przez władze, miasto to ponownie zostało zajęte przez partyzantów w błyskawicznym i doskonale przygotowanym ataku. Pod kontrolą lokalnego rządu rewolucyjnego znalazła się większość Katangi, a armia kongijska ponosząc klęskę na wszystkich frontach, przeszła do działań obronnych wokół ośrodków górniczych o wielkim znaczeniu gospodarczym dla mocarstw zachodnich.

Inny ośrodek potężnego ruchu wyzwolenczego — ruchu, który grupuje wszystkie patriotyczne siły kraju kierujące się idealami Lumumby, znajduje się w innej części kraju, w prowincji Kwilu. Ośrodek ten jako pierwszy rozpoczął walkę zbrojną, z jego istnieniem związane jest legendarne już dziś nazwisko: PIERRE MULELE. O nim właśnie i o walce jego partyzantów chcemy tutaj opowiedzieć.

Podczas znanych wydarzeń z pierwszych lat niepodległości Konga tereny Kwilu — pokryte dżunglą wypalana prymitywnymi metodami pod uprawę roli — leżały nieco na uboczu wstrząsających krajem dramatów. Lecz wpływy premiera Lumumby, jego partii i innych sił patriotycznych były tutaj od początku silne. Przez te tereny uciekał z Leopoldville prześladowany premier, tutaj po raz ostatni ludzie widzieli go wolnego i owacyjnie witali, gdy przejeżdżał jeepem przez osiedla. W Kikwit, głównym mieście Kwilu, przyjmowano go z entuzjazmem. Gdy spadochromiarze gen. Mobutu schwyli go nieco dalej, w Port Franqui, wojsko zemicilo się krwawo na ludność Kikwit za poparcie udzielone Lumumbie. Żołnierze dokonali masakry i nie pozwolili na zabójstwo karabinów maszynowych uprzątnąć z ulic zwłok pomordowanych. Do jeszcze krwawszych wydarzeń doszło w końcu września 1963 roku. Prześladując przywódców ruchu narodowego w Kwilu, policja i wojsko premiera Adouli spaliły całą wieś w rejonie Lukamba i wymordowały wszystkich jej mieszkańców, a następnie rozpoczęły terror w całym Lukamba pałac chaty i dopuszczając się zabójstw. Lecz wówczas już w Kwilu przebywał Pierre Mulele...

Ten 35-letni działacz społeczny był ministrem oświaty i sztuki w rządzie Patrice Lumumby i towarzyszył jego walce. Po bezprawnym aresztowaniu wicepreziera Gizengi i zestaniu go na wyspę Bolabamba, Mulele, który reprezentował naród kongijski na różnych kongresach afrykańskich, powrócił do kraju z gotowym programem działania. Cel walki widział jasno — wyzwolenie kraju z pięć neokolonializmu, usunięcie obcych monopolów, kontrolujących gospodarkę Konga, odzyskanie olbrzymich bogactw naturalnych. Przybywszy potajemnie do Kwilu, w lipcu 1963 roku, rozpoczął natychmiast organizowanie ru-



chu występującego pod nazwą „JEUNESSE” i jego sił zbrojnych. „Jeunesse” znaczy „młodzież” — Pierre Mulele właśnie na młodzieży postanowił oprzeć kierowany przez siebie ruch wyzwolenczy, jej zaszczepić ideały swojego przyjaciela Patrice Lumumby. I młodzież natchniona jego marzeniami poszła za Mulele do organizacji rewolucyjnej „Jeunesse”...

W końcu stycznia bieżącego roku, w trzecią rocznicę zabójstwa Lumumby, kilkadziesiąt prymitywnie uzbrojonych partyzantów pod dowództwem Mulele rozpoczęło działania wojenne o 482 kilometry na wschód od Leopoldville, w sercu prowincji Kwilu. Bojownicy „Jeunesse” uderzyli na miasteczko Idiota, gdzie znajdował się posterunek wojsk rządowych, następnie zajęli częściowo miasto Feszi w rejonie Kwango i zatakowali miejscowość Gungu, o 80 km od obiektu pierwszego natarcia. „rozprzestrzeniając się w błyskawicznym tempie. Wojska partyzanckie obległy wkrótce Leverville, ważny ośrodek eksploatacji masła palmowego przez spółkę angielsko-holenderską i posmaszerowały dalej na północ, ku Yuke i Mangali nad brzegiem rzeki Kasali. Niedługo ważna gospodarczo droga łącząca Katangę z Port Franqui, którą przechodziły transporty 40 proc. minerałów katangijskich, została zablokowana przez partyzantów. Pod kontrolą oddziałów Pierre Mulele znalazł się obszar o powierzchni 15 tysięcy kilometrów kwadratowych. Wschód i południe Kwilu oczyszczono całkowicie od wojsk nieprzyjacielskich i sparaliżowano działalność władz.

Skąd biorą się te sukcesy? Obok tego, że partyzanci znają doskonale teren, bo to ich ziemia rodzinna, że cieszą się poparciem ludności, to jeszcze na dodatek mają do czynienia z przeciwnikiem zupełnie zdemoralizowanym. „Taktyka” wojsk rządowych korespondent „Newsweek” sprowadził do następujących zasad: „Iść wzdłuż dróg bez zwładowców i ubezpieczenia skrzydeł, palić wieś, dopuszczać się gwałtów i rabunków, a potem rzucać się do ucieczki przy pierwszej oznace zorganizowanego oporu”.

Wojska partyzanckie w ciągu dwóch pierwszych miesięcy walki rozrosły się z kilkudziesięciu bojowników w dobrze zorganizowaną 10-tysięczną armię uzbrojoną w łuki, strzały, włócznie, długie noże służące miejscowej ludności do karczowania dżungli oraz pierwsze zdobyte karabiny i broń maszynowa. Uzbrojenie to bardzo prymitywne i fakt ten

nie są one wśród partyzantów wschodniego Konga, w Kiwu. Przywódca ruchu wyzwolenczego w tym rejonie, 27-letni siostrzeniec Lumumby Martin Kassongo, dał rewołwer korespondentowi amerykańskiego „Newsweeka” i kazał mu strzelać twierdząc, że się go kule nie imają — uodporniło go „dawa”. Dziennikarz wołał oczywiście nie próbować i do Kassongo nie strzelił. Jest rzeczą wątpliwą, żeby ten przywódca party-

teren sąsiedniej prowincji Kasali i jeśli uda im się tam rozniecić powstanie, mogą zagrozić kopalniom diamentów na południu, podobnie jak partyzanci katangijscy zagrożają złóżom uranu eksploatowanym przez zachodnie monopole. Po lotach rozpoznawczych lotnictwa wojskowego, z odsieczą dla wojsk rządowych ruszyły do Kwilu nowe oddziały gen. Mobutu. Przystąpiono do rozpraw z ludnością wiosek

ów, którzy wymykają się grupkami z wiosek i jak za hipnotyzowaniem idą w ślad za dzwiękiem tam-tamu, za legendą, za oddziałami partyzanckimi. Potem, gdy wstąpią do ruchu „Jeunesse”, legenda Mulele nakazuje im przewyciężyć strach i uzbrojonym w noże i dzidy rzucać się na stanowiska karabinów maszynowych z odwagą graniczącą z szaleństwem. Ich zwłoki leżą później, po krwawej walce, u wrót miasteczek, na ścieżkach dżungli. Ale każdego zabitego zastępuje natychmiast dziesięciu innych bojowników i iskry wojny wyzwolenczej spadają na nowe, coraz dalej położone wioski.

Legenda o Mulele wywołuje wśród białej ludności obłąkańczą panikę, ta zaś udziela się korespondentom agencji prasowych. Nerwowe depesze przetwarzają wybijały na tam-tamach rytm legendy i roznoszą ją po świecie mity o Pierre Mulele, mściwym duchu Lumumby, który odrodził się gdzieś w Kwilu i poprowadził za sobą watahy fanatycznych terrorystów do rzezi białej rasy. Powtarzają się ponure wieści o okrucieństwach czarnych rewolucjonistów, te same, które opowiadano już tyle razy o Mau-Mau i o partyzantach angielskich, znów rozprzestrzenia się plotki stare jak kongijski nacjonalizm — o masakrowaniu księży i prześladowaniu zakonnic.

A tymczasem w głębi Konga, wśród dżungli Kwilu, Pierre Mulele dyktuje swoim bojownikom twarde prawo partyzanckie, którego respektowanie wymusza całą potęgą autorytetu wodza i bohatera, prawo proste i humanitarne. Oto jego brzmienie:

1. Okazyj szacunek wszystkim ludziom.
 2. Płać godziwą cenę za wszystko, co kupujesz u mniejszych ludzi.
 3. Zwracaj jak najszybciej wszelkie pożyczki przedmioty.
 4. Za wyrządzone szkody płać odszkodowanie.
 5. Nie przeklinaj i nie obrażaj nikogo wyzwiskami.
 6. Nie niszczyć i nie traktuj pól chłopskich.
 7. Szanuj kobiety i nie zaczepiaj ich.
 8. Nie maltretuj jeńców wojennych, nie konfiskuj i nie zabieraj ich przedmiotów osobistych, takich jak pierścionki, pieniądze, zegarki oraz wszelkich innych rzeczy.
- Po siedmiu miesiącach wojny w Kwilu nazwa ruchu „Jeunesse” stała się symbolem buntu i zwycięstwa. Europejczycy w Kongu określają mianem „Jeunesse” także niezależny od Mulele ruch wyzwolenczy rozwijający się o setki kilometrów na wschód od Kwilu, w prowincji Kiwu, opanowanej przez oddziały Narodowego Komitetu Wyzwolenia Konga pod dowództwem Emila Soumailota i Martina Kassongo.
- Oto co opowiada naoczny świadek, Bukawu, stolica Kwilu, otoczona została przez partyzantów. „62 rannych żołnierzy wojsk rządowych leżało w szpitalu w Bukawu, gdy weszło tam dwóch cywilów. Jeden z żołnierzy ogarnięty paniką krzyknął: „Jeunesse”. I wówczas wszyscy wyskoczyli z łóżek i pokuszyli albo popętlili do pobliskiego buszu. „W międzyczasie dwaj ludzie, uznani za członków legendarnej „Jeunesse”, zdobyli bez walki i bez słowa pełne uzbrojenie 62 żołnierzy.
- Taka jest legenda o magii partyzanckiej, o Pierre Mulele i o „Jeunesse” — młodzieży Lumumby...

MŁODZIEŻ LUMUMBY

kolonialistyczna propaganda wykorzystuje w celu dyskredytowania partyzantów w oczach opinii publicznej ja ko band wojowników szcze-powych. Tymczasem właśnie w krajach słabo rozwiniętych ruch partyzancki, które go terenem działania są zamieszane obszary rolnicze, zmuszony jest w pierwszym okresie swojego istnienia posługiwać się bronią, która jest pod ręką. W zafornym terenie będzie to zawsze broń prymitywna. Słynny jest długi nóż „machete”, narzędzie rolnicze będące zarazem nieodzownym atrybutem buntów chłopskich w Ameryce Łacińskiej.

Należy także zwrócić uwagę na jeszcze jedno zagadnienie. Partyzantka — to wojsko ludowe, opierające się z reguły na ludności terenów słabo rozwiniętych. Szczególnie w „czarnej” Afryce musi ona w swej taktyce, organizacji, zwyczajach nawiązywać do tradycji rejonu czy szerepu, z którego rekrutuje się oddział, tradycji oczywiście odpowiednio przetworzonej, zgodnej z celami ruchu. I tak oto dochodzimy do „dawa”, tajemniczego kongijskiego partyzantki.

„Dawa” — to sporządzone przez czarowników pigułki, które uodporniają jakoby na kule i zamieniają je w wodę. Wiadomo, że rozpowsze-

czony jest w pierwszym okresie swojego istnienia posługiwać się bronią, która jest pod ręką. W zafornym terenie będzie to zawsze broń prymitywna. Słynny jest długi nóż „machete”, narzędzie rolnicze będące zarazem nieodzownym atrybutem buntów chłopskich w Ameryce Łacińskiej.

Partyzanci obok niespodziewanych wypadków na wojska rządowe prowadzą także na szeroką skalę działania nekające i zastawiają zasadzki. Jeszcze na początku walk szef sztabu generalnego armii kongijskiej, płk. Eugene Abeya, poprowadził do walki w Kwilu oddziały szturmowe wyposażone w nowoczesną broń. 5 lutego dwa plutony maszerujące z Gungu do Tolszi na południu prowincji Kwilu wpadły w zasadzkę partyzantów, a sam płk. Abeya jadący jeepem, otrzymał śmiertelny postrzał z łuku.

Rozmach ruchu partyzanckiego wywołał poważne zamieszanie wśród władz kongijskich i ich mocodawców rezydujących w stolicach państw zachodnich. Rozprzestrzeniające się szybko oddziały Mulele przeniknęły na

okazyjących poparcie partyzantom. Już 16 lutego tysiąc pięciuset żołnierzy skierowano do ataku „systematycznego oczyszczenia” prowincji. Armia kongijska maszeruje przez Kwilu wśród palonych po drodze wsi i trupów mieszkalców, którym nie udało się na czas zbiec do dżungli. Straszliwym torturom poddawani są wszyscy, którzy mogą coś wiedzieć o partyzantach, o Mulele. Lecz mimo represji — a może właśnie wskutek nich — ludzie idą za Pierre Mulele, jak kiedyś szli za prorokiem Szymonem Kimbangu, który czytał im Biblię i głosił, że Bóg jest czarny i Chrystus jest czarny.

Po wsiach, wśród wrzenia i niepokoju, obrzędowych tańców i bicia w bębny, oczekuje się partyzantów. Ale ich nadejście poprzedza mknąca od wioski do wioski, z warkotem tam-tamów, szybka jak wiatr legenda o Mulele, o czarowniku wyzwolenia i proroku zwycięstwa Afryki, o Mulele — następcy Lumumby, o człowieku, którego nie imają się kule, który jest niezwyciężony, choć za jego głowę rząd wyznaczył 500 tysięcy franków nagrody, legenda o burzy, piorunie, ogniu i nieokiełzanej potęgze buntu trawiącej Konga, Mulele... Mulele... To nazwisko wymawiane szepem mknie z ust do ust, narkotyzuje kilkunastoletnich chłop-

Nieborów — Arkadia

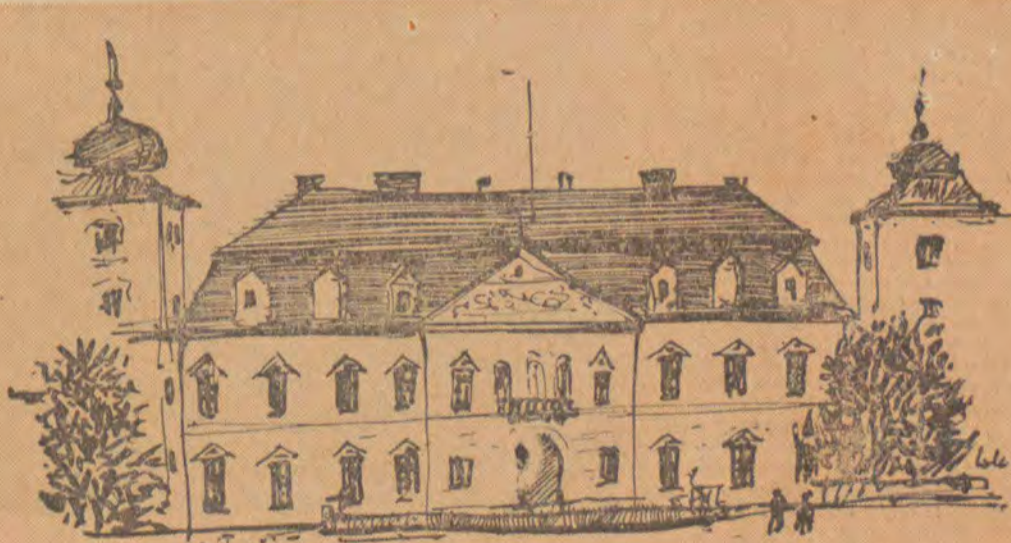
DOJAZD: Autobusem PKS z Dworca Fabrycznego. Godz. 5.20. Bilet kosztuje 25 zł 20 gr. Można też pociągiem z Dworca Kaliskiego o godz. 5.55, 8.35 do Lowicza i stamtąd autobusem o godz. 7.35, 8.00, 11.00 do Nieborowa.

CO OBEJRZEĆ: Piękny barokowy pałac, zbudowany w XVII wieku. Mieści się w nim Oddział Muzeum Narodowego. W sieni pałacu znajduje się słynna rzeźba „Niobe” Nieborowskiej. O niej to wstrząsający poemat napisał K. I. Gałczyński. Nieopodal pałacu rozciąga się sentymentalno-romantyczny park krajobrazowy założony na przełomie XVIII i XIX wieku przez Helenę Radziwiłłowa. W parku — świątynia Diany z plafonem malowanym przez Jana Norblina, domek gotycki, rzymskie akwedukty, kamienne bramy, rzeźby egipskie...

GDZIE ZJEŚĆ: Najlepiej mieć własny przewiant. Jest również dobrze zaopatrzona gospoda o 200 m od pałacu nieborowskiego.

PAMIĄTKI: Pocztówki z widokiem miejscowych obiektów — kiosk „Ruchu” naprzeciw bramy wjazdowej.

HISTORIA: Stare osiedle garncarzy. W wieku XIX i XX ośrodek produkcji ceramiki artystycznej. Dziś liczy około tysiąca mieszkańców i słynne jest przede wszystkim z pałacu i muzeum.



Tadeusz
CHRÓSCIELEWSKI

Moja JEZDA do MOSKWI.

Dalszy ciąg ze str. 1

czystych nabożeństw. Na okolnym szczytnie cerkwiach dziedzińcu przed Uspieński, wylądane hieratyczne Bizantium spotyka się z florenckim i wenezańskim renesansem (szereg cerkwi odcinających się białozłotkamiwymi ciosowym kamieniem stawaliłi talasy architektki). Fuzja dwóch stylów stworzyła coś niepowtarzalnego.

Zwiedzamy popesny Nowodiewiczyj Monastyr. Grube mury, wielkoruski przegazony barok, w partiach fortecznych przy pomina trochę fryderycjańska cytadela w Klocku. Zakratowane okienka klasztoru przywodzą na myśl więzienie. Słusznie. To tu została osadzona, przez Piotra I i „podstrzyżona w monachinie” po nieudanej rewolucji strzelców carówna Zofia Aleksiejewna. Przez którejś z tych okienek zmuszona była spoglądać dzień po dniu na rozkładające się na szubienicy zwłoki swych pretorian. Możemy chodzić po całym obiekcie swobodnie. Dziś nikomu nie przeszkadzamy. Na drzwiach cerkiewnych wywieszka: „siewodnia bohoshuzenia niebudiet. Sanitarny dień”. Co kraj to obyczaj: raz w tygodniu duchowni mają tu wychodne, a w cerkwi trwa generalne mycie i sprzątanie. Na cmentarzu kilka obsmutanych bab z patrycjuszami kijaskami w dłach oczyma w dewocyjnym zachwycie w ślad za młodzikiem popem, który właśnie maszeruje do miasta nućca pod nosem coś zdaje się świeckiego. Cmentarz był w XIX w. odpowiednikiem Skalki. Wielki empirowy grobowiec z białego marmuru. Nazwisko skądś zaane. Aha, generał Timofiejew. Wstawiony w bitwie pod Borodino. Jeden ze zdobywców Warszawy. Nagle drgnąłem. Skromny ładnie utrzymany grób: Napis: Władimir Sergiejewicz Solowjow. Pod urokiem jego fantastycznej, raczej poetyckiej niż intelektualnej, filozofii, znalazłem się przelotnie w czasach okupacji, pod wpływem przyjaciela, a w początkach mych lat łódzkiej pryncypała, Sergiusza Kulakowskiego. Filozofia i poezja Solowjowa to wielka, niezrozumiała dziś dla mnie miłość i pasja ostatnich smutnych lat życia Sergiusza. Nieopodal bramy babuszka sprzedaje kwiaty. Kładę je na grobie w imieniu wspólnego zmarłego przyjaciela.

Główny i oficjalny cel naszego przyjazdu do Związku Radzieckiego to kontynuowanie dyskusji z radzieckimi tłumaczami nad problemami przekładowymi i programem wzajemnych tłumaczeń. Przed rokiem delegacja radzieckich tłumaczy — polonistów przybyła do Warszawy na zaproszenie Związku Literatów Polskich. Obyły się spotkania z polskimi tłumaczami i krytykami o charakterze seminaryjno-dyskusyjnym. Obie strony uznały tę formę współpracy za bardzo pożyteczną. Ot i geneza naszej rewizyty w Moskwie i spotkań z kolegami leningradzkimi w Pskowie i w Michajłowskim i z kolegami z Ukrainy w Kijowie. Spotkanie moskiewskie w pałacu Związku Pisarzy (według tradycji jest to pałac Bestuzewa; tu umieszcili Tolstoj część wydarzeń „Wojny i pokoju”) trwało szezególnie. Zabierała kolejno głos cała nasza delegacja i kilkunastu tłumaczy radzieckich. Nie będę relacjonował wszystkich wypowiedzi. Omawialiśmy sprawy na ogół dość specjalistyczne i wąskie. Flukowski w ciekawym filologicznym wystąpieniu za chęcią tłumaczy radzieckich do szerszego zajęcia się Norwidem. Mówiono o trudnościach, jakie wylanla przekład na rosyjski poezji Kochanowskiego: literatura rosyjska nie miała renesansu. Znakomity poeta armeński, laureat nagrody Leninowskiej, Emln Gework mówił o apercpcji polskiej literatury wśród narodów radzieckiego Wschodu. Okazuje się m. in., że ze względu na predykcje ludów Środkowego Wschodu do romantyki rycerskiej Stenkiwicz jest tam szczególnie żywo odczuwany i uważany niemal za pisarza własnego. Młody tłumacz Eppel

rozwijając moją tezę o przenoszeniu w wyjątkowych wypadkach in extenso nazw, które nie mają odpowiedników w drugim języku, np. dacza, kontusz — opowiadał wyjątkowo interesująco o swych zmaganiach z podobnymi trudnościami w tłumaczeniu „Zaczarowanej dorożki”. Bardzo cenne było wystąpienie młodego pisarza, Turkowa. Wskazał na konieczność wyjścia w radzieckich inicjatywach wydawniczych poza krąg współczesnych klasyków: Tuwim, Broniewski, Gałczyński. „Jeden Różewicz — oświadczył — wiosny nie czyni”.

W PSKOWSKIM

Powitanie na dworcu. Władze partyjne i miejskie z kwiatami. Zwiedzamy miasto. Ma 120.000 mieszkańców. W skali tu-tejszej raczej miasteczko. Mimo rangi miasta wojewódzkiego (oblastnyj gorod) cierpi na cholerny kompleks prowincji. Zburzony przez Niemców w 90 proc. i w całości odbudowany. Z wyglądu i rytmu ulicy przypomina dzisiejszy Piotrków. Dzi siejszy, ten już nieco ruchliwszy i doinwestowany przemysłowo. Przypominałby go bardziej, gdyby nie szeroko rozlana Wielika i ciągnące się równoległe do całego śródmieścia białe mury Kremla z charakterystycznymi dla pskowskiej architektury obronnej basztami w kształcie wielkich, związających się w górze garów. I gdyby nie cerkwie.

Przez półtora dnia władze wozyli niemordowanie od cerkwi do cerkwi. Ależ nie, nie w celach misyjnych. Psków i Ziemia Pskowska są unikalnym na skalę światową rezerwatem starej architektury sakralnej i warownej. W tej surowej, leśnej ziemi, odgródzonej wielkim jak morze jeziorem od ugrofińskiej Estonii wykształcił się całkowicie odrębny styl budownictwa sakralnego i obronnego.

Styl ten od chrztu Rusi po siedemnasty wiek rozwijał się niemal niezależnie od prądów w architekturze rosyjskiej i światowej. Ileż wszędzie tych cerkwi i samotnych twierdz poszczerbionych przez działa Batorego, i beluardy czasu. Wszystko to jest teraz z wielkim pietyzmem rekonstruowane, konserwowane, zabezpieczone. Niebawem pójdzie tedy duży ruch turystyczny. Nasz zapalony cicerone, architekt (po naszymu konserwator wojewódzki) martwi się, że zleca się tu zewsząd hulaśliwi Amerykanie z fordami i leicami. Na razie jednak tylko, jak u nas w Kazimierzu, pod każdą gruszą smaruje po płótnie plastyk.

Stylowa cerkiew Ziemi Pskowskiej kom ponowana była jako integralna część krajobrazu. Jego charakter, wielkość i nachylenie wzgórza, lustro jeziora, w którym odbiła się musi biała sylweta absydy, decydował o proporcjach, rozmiarach, kształcie lekcyj i fantazyjnej linii dachu, wysokości kopułowych wieżyczek. Wyluskana ze wzgórza, odjęta zieleni — wiadomo, jak współgra zieleni i nasłoneczniona biel pskowska cerkiew straciłaby wiele ze swego uroku. Tamta na legendarnym uroczysku, blisko ujścia Wielikiej, w krajobrazie, co przywodzi na myśl idylliczno-baśniowy pejzaż tłumaczonego przeze mnie „Ostatniego syna wolności” Lermontowa, przypomina przycupniętą w przemyku między wzgórzami rodzinie baśniowych prawdziwków. Pskowski budowniczy miał dar syntezy, i nie był bizantyjskim, toteż nie lubił bogatego wystroju, operował układem całości, białą płaszczyzną z rzadką jedynie boniowaną i czernią badz rudą zielenią kopułki — kapelusza. Na kopułkach waziatka, osobliwego kształtu, karpówka, która nie przypomina rybich łusek, lecz właśnie pilśni, lekko polyskująca pilśni prawdziwka.

Na pokieresowanych przez kły czasu i woien freskach Snietogorskiego Monastyru dzieją się rzeczy dziwne: diabli tra-

tuja szyje bogaczy i co wszeteczniejsze miejsca na ciałach jawnogreszczni, siedząc okrakiem na przerażających morskich stworach (technicznie groźne dla północnych kupców i żeglarzy mare tenebrorum inspirowało natchnienie malarza, podobnie jak kreowało ponurą mitologię skandynawską i fantastykę bylin nowogrodzkich), świeci świecą gołymi podbródkami. To ostatnie wskazuje, że panoszyła się tu w XIV wieku niecna sekta podstrzyżeńców: święty prawierny musi, jak wiadomo, mieć odpowiednią brode.

Pożegnaliśmy twierdzę w Izbersku i wszystkie cerkwie w leśnych i nadjeziornych pustkowiach. Z powrotem Psków, pa norama miasta, nie kończące się blanki i wieże Kremla. Nie zawsze było tu cicho. Wyobraźnia stara się odgadnąć, w którym to miejscu na ogromnej przestrzeni od Baszy św. Barlaama do Baszy Pokrowskiej i wykopalisk legendarnego grodu Dowmonta wstawić wyjęty z ram obraz Matejki.

Przewodnika nie chcę pytać. Nie interesuje go historia polityczna, poza tym działania wojenne Batorego nie oszczędziły wielu jego cerkwi. Jest więc dlań kimś na obraz i podobieństwo gigantycznej, szczególnie złośliwej kawki, ptaka, którego serdecznie nienawidzi, bo śmieci w zabytkach.

Ciekawość naszą zaspokoiła następnego dnia bez żadnych dopytywań z naszej strony pierwszy sekretarz. Wyrwa w murach szerokości półtoraj ulicy Piotrkowskiej. Nie zamurowywana, zostawiona na wieczną rzecz pamiętke. Nazwa „Pierelom Batorawo”. Tu toczyły się najdramatyczniejsze walki, prowadzone z obu stron z niesłychaną pogardą śmierci. Kiedy wjeżdżaliśmy autami w tę wyrwę, gruchnęła burza: od rana zbierało się na deszcz. W grzmotach i w świetle błyskawic to rysował się krwawo, to nikał w mroku monumentalny krzyż na wspólnym bodajże kopcu mogiłnym. Postawiono go w ubiegłym wieku w trzechsetletnią rocznicę bitwy. W tej sytuacji nie trzeba już było wysiłku wyobraźni, by przywoływać przed oczy obraz Matejki. Sceneria krwawego dramatu, nad którym unosiły się drażliwie zakrzywione palce Possewina, była aż nadto wyraziście.

Krzyż był już trochę zniszczony. Odbudowali go w zeszłym roku — podobał się, ot tak sobie zwyczajnie, po gospodarsku, sekretarz.

W MICHAJŁOWSKIM I W TRIGORSKU

Do zakątków puszkiniowskich jedziemy wraz z kolegami z Leningradu. W ich gronie zasłużony tłumacz Ajzensztok i młody poeta pełen niezwykłego uroku osobistego, Swiatosław Swiacki, autor doprawdy znakomitego przekładu „Beniowskiego”. Dołączyl również z Moskwą Czukowski i Sidorow Gatow.

Michajłowskoje. Dwór poety, park, pochylone nad rzeką drzewa z tamtych lat, tylko cokolwiek starsze. Co kilka kroków wylanla się z zieleni biała tablica z cytatem wiersza, recytowanego od pokoleń w różnych stronach świata, a którego najintymniejsza treść wiąże się z tym właśnie, a nie innym fragmentem pejzażu. Otóż i strzeszasta chatynka Ariny Radionowny (niani), z całym chłopskim wyposażeniem: kołowrotek, przęślica, łopata do wypieku chleba, lampka pod lkoną. Zdaje się, że staruszka tylko co poszła i w tę pędy wróci. Dziwna rzecz, w Michajłowskim powstały najcenniejsze utwory Puszkina, a wyobraźnia krąży wokół stosunkowo blagiego wierszyczka o burzy, która „mgłami niebo kryje” o świa telku co ledwo się tli w tej właśnie „liczej chatynce”. To był ulubiony wiersz mojej matki, a potem go często w twimowskim przekładzie nuciłem wieczorami dzieciom, gdy były małe... Kiedy idziemy w stronę dworu, ostrzeżliwie nas aparat filmowy. To dla telewizji leningradz-

kiej. Wpisujemy się kolejno do pamiętkowej księgi. Jesteśmy tu pierwszymi pisarzami z ojczyzny Mickiewicza.

Majątek sąsiedni, Trigorskie, leżące na trzech wzgórzach nad kreta Sorota był wtedy jak wiadomo, w posiadaniu bojarzyni Osipowej i jej córki z pierwszego małżeństwa — Anny i Eupraksji Wulf. Puszkini był tu podczas pobytów w Michajłowskim codziennym gościem. Przyjął do grobu. Dostownie do grobu. To tu w drodze do Snietogorskiego Monastyru w głąbią zimową noc śmiertelnie zmęczony i przemarzły Turgieniew przywiózł trumnę z ciałem zastrzelonego poety. Anna i Eupraksja to pierwowzory Tatiany i Olgi z „Oniegina”. W tym przedudownym parku, wśród kilkusetletnich dębów, lip, świerków tradycja umiejscawia akcję poematu. W tej właśnie alei znudzony Oniegini prawił Tatianie verba veritatis. Stefan Flukowski ma doznania bardziej złożone od naszych: chodzi po miejscu również i własnego utworu. Napisał, jak wiadomo dramata o Puszkinie w Trigorsku. Czy tył ko „onieginiowskie” miejsce? Swiacki wska zuje na obrzymi, rozkonarzony od góry do dołu dąb. Dąb stoi na urwistym brzegu. O kilkadziesiąt metrów w dół urwisko obejmuje z obu stron kleszczami cicha Sorota. „Wie pan — tłumaczy — Rosjanie, nie znający dobrze archaizmów własnego języka również słowo „lukomorje” rozumieją jako ostrów wyłącznie morski. A tymczasem to „gdzie stoimy” to jest również „lukomorje” — „Wiec to tu?” — idę za jego tokiem myślowym. „Tak, tu: Ten właśnie dąb wyjął poeta pisząc: Prolog do „Rusłana i Ludmily”. „U lukomorja dub zieleń?” — ze wspomnień dziecińczych, obwiał pięk złotym łańcuchem i kazał chodzić dokola uczonemu kotu, narratrowi. W to miejsce, między debem a Sorota przewołał wszystkie dziwotwory „Prolosu”. Nowy dowód na stara jeszcze condillacowska teza, że najbardziej nawet wymagany obraz artystyczny musi mieć swój punkt oparcia w konkretnym miejscu na mapie.

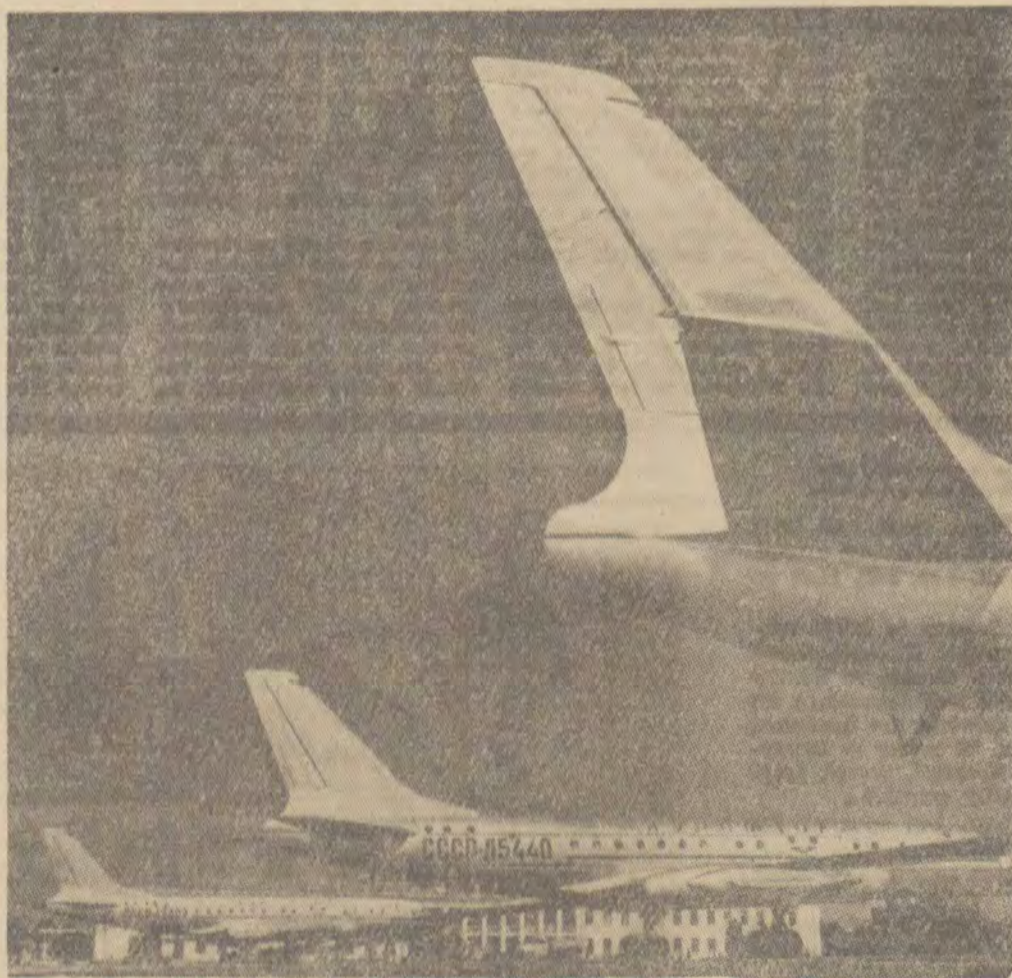
POKRÓTCIE O TYM, CO DALEJ

Trzeba kończyć, które pismo tyle wydrukuje? A jeszcze moc pozostało. A więc jazda do Kijowa przez Witebsk, (gdzie ongiś... „przewodniczącym wojewódzkiej rady narodowej” był Paweł Sapieha, ten któremu nasz wspólny przyjaciel Zagłoba oddał po znajomości regimentarstwo), Homel, Czernińów. Gdzieś tam kolo Witebska zamajaczyła mi legendarna dla mojej rodziny stara wieś — zaścianek Chruscielewo... Ludnie, przemysłowo, bogato, rozmach budownictwa — znak, że jesteśmy blisko Kijowa. Na dworcu wycalo-wują nas z dubeltówki ukraiński poeci w haftowanych koszulach. Miasto, Sobór Sofijski, grobowiec Jarosława Mądrego, nie samowite oczy archanioła, które patrzyły na szaleństwa Smialego. Nie mam czym uderzyć w złotą bramę! Młnemy wodolotem po Dnieprze do Kaniowa, ku mogile Szewczenki, a przed oczami brzegi jakby wyjęte z kart Trylogii. W drodze na mogile Szewczenki rzuca mi się niemał na szyję śliczna jak malowanie kustosza muzeum Lesi Ukrainki, jako, że jedyny po wojnie tłumaczylem Lesię. Podkreślam „niemał” ze względu na zainteresowania tego typu spotkaniami ze strony domowych czytelników. W zapomnienia fall otolony tu obrazy spotkania postrzuku rzeki słabego króla z mocną carycą. Przeloczyła się bez śladu bitwa korpusu Hallera w 1917 roku. Staje na ruinach zamku kaniowskiego, który Seweryn Goszczyński przenosił do historii naszej literatury. Pokloniliśmy się mogile Szewczenki. Następnego dnia spotkanie delegacji z ukraińskimi poetami, tłumaczami, wydawcami i działaczami kultury. Konferujemy nad wydanieniem wzajemnych antologii współczesnej poezji. W zaimprovizowanym referacie zapoznaję kolegów z twórczością polskiej „szkoły ukraińskiej”. Postuluje niezbędność przekładów. Ogólna akceptacja. Deklaracje. Poeta Aleksza Nowicki powiadamia, że pracuje nad „Zamkiem kaniowskim”. Krążymy po katakumbach Pieczarskiej Ławry. Dopiero niedawno udostępnionych po rewolucji do zwiedzania. Dzwonimy zębami: różnica temperatur w górze i w pieczarach około dwadzieścia stopni. Zewsząd w otwartych trumnach leżą „moszezi” — zmumifikowane ciała starokijowskich świętych i męczenników. Wśród nich święty, który istniał jedynie w staroruskich bylinach, w baśni. I to nie jako święty, ale przepiękny zabijaka co machnięciem 16-nudowej palki tłukł sto tysiec Tatarów. Ila Muromiec — on to właśnie leży w Ławrze w archierejskiej mitrze, kości rak złamane na ewangeliarzu. Niemalmy buiaczami byli dawni mniisi pieczarscy! Zegnamy się. Znów na dworcu dubeltówki ust w robocie. Wtóra „jezda do Moskwy”. Idzie właśnie wszedli święty numer — „Literaturnej Gazety” z przekładami naszych wierszy.

Pójdziemy na „Trzy siostry?” — Nie, „Trzy siostry” mogą jeszcze nie raz w Łodzi zobaczyć, z Zukowskim w roli tytułowej. Jest zachód słońca, Czerwień gesta, niemal atłasowa. Trzeba pożegnać się z Wasylem Błażennym. W takiej poświacie jeszcze bardziej fantastycznie św rozkwitający na placu dziwokrzew, którego fenomenalne piękno pobudziło niedwds do placu na głos Iwana Groźnego i przy którym najśmielsze wizje Corbusera wydają się przestarzała secesja. Plac Czerwony pełen młodzieży. Naturalnie jak młodzież to i baterie jaszczów z lodami. Koniec roku szkolnego obchodzi się uroczście w państwie jako Dzień Ucznia. Z odcien Pałacu Rady Najwyższej dobiegają melodie waleń i zgiełk zabawy. Brezniew i rząd wydają bal na cześć prymusów.

Czas jechać na lotnisko.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI



Zygmunt Machwitz „GWIAZDY na ZIEMI”

Mała salka jest zapełniona ciężkimi niezgrabnymi sprzętami. Zza okna widać jeszcze ciśnie stłoczone mury oficyn. Na grubych solidnych ławach tłum ludzi. Atmosfe-

— W restauracji?
— Nie, Łopot był u jakiejś znajomej... Sprawy sentymentalne... Przypuszczam, że nie obeszło się bez alkoholu. To podobno pomaga...

wają się oskarżonemu pytania. No, ale poza tym trzeba też bronić siebie. A sąd tymczasem szuka winnego. Podejrzanie pada na innego pracownika — starego już,

rozpraw prawie bez przerwy wpatrzoną w oskarżonego. Jest to Magda, córka Bartoszka. Przez owe „koligacje” i uczucia stanowi ona jakby środek swobodnego węzła moralnych dylematów.

Główne role kobiece obsadził tu reżyser aktorkami dobrze znanymi każdemu widzowi, Anną Ciepielewską (Miśka) i Elżbietą Czyżewską (Magda). Zgola inaczej jest z postaciami męskimi. Łopot i Nalazka kreują debiutanci w dużych rolach filmowych, Andrzej Kopiczyński i Piotr Augustyniak. Poprzednio występowali oni w epizodach „Konca naszego świata”. Pierwszy z nich był tam kapo zwanym „Krwawym Józkiem” a drugi Niemcem, doktorem Wirthem. Te nowe twarze dodać mają akcją posmaku autentyczności. Te szanse podejmują zresztą filmowcy bardzo konsekwentnie. Poza wymienionymi aktorami sporo tu jeszcze innych osób wybranych z filmu W. Jakubowskiej (reżyser Janusz Weychert był wówczas jej asystentem), które w dodatku kreują role będące portretami ludzi rzeczywiście istniejących, napotkanych po prostu przypadkiem w życiu. Poza tym w całej rozciągłości twórcy obrazu próbują oddać klimat pełnej realizmu, niezafalszowanej rzeczywistości. Umożliwiła to w pełni typowa i współczesna problematyka. Pomaga tu też niewątpliwie charakterystyczna przemysłowa sceneria, realizowana w Chorzowie i wokół kopalni w Łęczycy plenery.

Mija kilka dni. Zdjęcia są już zakończone. Teraz trwają tak zwane postsynchrody, czyli po prostu w specjalnym, izolowanym na zewnątrz pomieszczeniu nagrywa się

warstwę akustyczną filmu — niektóre dialogi, szmery, hałasy uliczne itp. Mam więc okazję skonfrontować wrażenia wyniesione z asystowania przy realizacji obrazu z właściwymi już efektami ekranowymi. Oglądam kilka scen. Oto znów sekwencja rozprawy sądowej. Szczególnie interesujące są w niej dla mnie repliki obrońcy (gra go Henryk Bąk). Kamera stale najeżdża na twarz sprytnego mecenasa. Na ekranie będzie można zaobserwować wszystkie niuanse mimiki aktora. Mecenasa Tokarski wpatruje się właśnie uważnie zza okularów w swych antagoniście. Stawia ostre niebezpieczne dla nich pytania:
— Świadek nakreślił nam pewne sprawy ogólne. Jeśli chodzi o fakty dotyczące oskarżonego, świadek albo o nich słyszał, albo przypuszcza, że miały miejsce.
— No... ja przypuszczam...
— Przypominam, że świadek zeznaje głównie jako specjalista BHP — zauważa sędzia.
— Tak jest, Wysoki Sądzie. Więc pytam świadka jako biegłego: jak ocenić ludzi, odpowiedzialnych za bezpieczeństwo pracy, którzy mają do czynienia z notorycznie pijącym — wpuszcza go na niebezpieczne odcinki?
— To są ludzie nieodpowiedzialni.
— Czy tacy ludzie mogą być świadkami w sądzie?



Przez dwa lata Pascale Petit (Ruda Julka) nie pokazywała się na ekranach. Wyszła za mąż za włoskiego aktora Gianni Esposito, urodziła córeczkę i powzięła mocne postanowienie zajęcia się swoim domem i rodziną. Ale nie wytrzymała. Obecnie już jest w Paryżu, już zaangażowana do nowego filmu: „Jak poślubić premiera”. Premierem jest Jean Claude Brialy, a reżyserem tej dobrze zapowiadającej się komedii — Michel Boisrond.

W nowym filmie Alfreda Hitchcocka, Tippi Hedren gra rolę dziewczyny, chłodnej, tajemniczej i pełnej kompleksów. Ładna i inteligentna Marnie boi się burzy i mężczyzn, i ma tylko jedną pasję — kradzież. Zagadką leży w jej przeszłości, a właściwie w przeszłości jej matki. Partnerem Tippi Hedren jest Sean Connery.

Moda jednoczęściowych kostiumów kąpielowych nie ma chyba szans przyjęcia wśród gwiazd filmu francuskiego. Protestują tancerki strip-tisowe i aktorki. Jedynie gwiazdorzki zgadzają się na wprowadzenie nowej mody, ale z zastrzeżeniem, że tyczyć to może tylko pięknych kobiet.

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zdecydował wreszcie większością głosów (w stosunku 6 do 3), że film Louisa Malle „Kochankowie” nie jest filmem pornograficznym...

Yul Brynner i Marlon Brando spotkają się w Hollywood w jednym filmie, na pokładzie jednego statku, w filmie morskim. Tematem będą wydarzenia minionej wojny. W dalszych planach Brynnera leży realizacja „Powrotu Siedmiu Wspaniałych”, w tym filmie Brynner ma podjąć rolę Chrisa.

Nieznany sprawca zamienił fabryczkę na ogrodzeniu willi Anity Ekberg. Na miejscu napisu „uwaga, zły pies”, pojawiło się ostrzeżenie „uwaga, zła aktorka”. A to niespodzianka.

Henri Verneuil napotyka na spore trudności w realizacji swojego filmu „Weekend w Zuvdeote”. Chce uzyskać zastane dymną Verneuil zaczął podnieć 1.500 starców opozycjon samochodowych. Nie dziwnego, że okoliczni mieszkańcy, nieco zdenerwowani, zaprotestowali przeciw takim praktykom Niemniej Verneuil z powodzeniem zorganizował swój filmowy odwrót spod Dunkierki.

Christian-Jaque podróżuje. Obecnie przebywa na Wębrzeżu Kości Słoniowej, gdzie w kopalniach diamentów będzie się toczyła akcja przyszłego filmu. Film ma już aktora, który będzie grał główną rolę — jest nim Jean Marais. Nie ma tylko jeszcze tytułu.



ra jest duszna, napięta. Mając za sobą rząd z uwagą wpatrzonych twarzy zeznaje przed sądem człowiek, którego nazwisko brzmi Nalazek. Jest on głównym świadkiem w odbywającej się akurat rozprawie. Daje właśnie charakterystykę oskarżonego, która będąc z pozoru dość przychylną przedstawia go w istocie rzeczy w coraz to gorszym świetle. Padają słowa ciężkie jak grad:

— Wysoki Sądzie, wolalbym ograniczyć się do spraw ogólnych... — mówi Nalazek.
— Powtarzam — wódka wypita nawet na kilka godzin przed pracą, zasadniczo obniża sprawność. A jeśli chodzi o prace niebezpieczne dla życia...

— A oskarżony często znajdował się w stanie tak zwanego kaca? — pada pytanie prokuratora.
— Okresami dość często — odpowiada świadek.
— A krytycznego dnia?
— Wiem, że oskarżony spędził tę noc poza domem.

— A więc wódka i kobiety... — konkluduje oskarżyciel.

W kopalni, podczas pracy, zaistniał tragiczny w skutkach wypadek. Zginął człowiek. Zawiniła lekkomyślność, brak odpowiedzialności. Opiamem tego dramatycznego wydarzenia znacznie się realizowany obecnie film „Gwiazdy na ziemi”, którego kluczową sceną będzie właśnie rozprawa sądowa. Oskarżonym jest tu niewinny człowiek. Postanawia on jednak nie wyjawiać prawdy, chce kryć nieżyjącego, jako krajana, chłopaka z tej samej wsi. Zresztą w grę wchodzi przystojniwy przywiązanie do ziemi — umarły za zarobione pieniądze chciał dokupić gruntu, poszerzyć gospodarstwo. Zrobił to rodzina za odszkodowanie. Jednak czy ofiara nie pójdzie na marne, czy w razie ujawnienia rzeczywistego biegu rzeczy rodzice otrzymają te pieniądze? — nasu-

solidnego Bartoszka. Tym samym bohater postawi na krzywdę człowieka. Stanie się tak, mimo że Łopot, bo tak brzmi jego nazwisko, w gruncie rzeczy stara się uniknąć zadawania komuś bólu. Jest to chyba po prostu postać skomplikowana psychologicznie, niejednoznaczna, kierująca się różnymi racjami. Niestety, pozostawia on za sobą stale dużą dozę ludzkiego żalu. Na przykład w tej samej sytuacji co Bartoszek znalazł się też mądra, dobra i kochająca bohaterka Miśka. Zresztą cały film staje pod znakiem pytań i konfliktów natury etycznej.

Niemalą rolę odgrywa w tym obrazie kobiety. Bohater jest przystojny, ma powodzenie u dziewcząt. Pierwsza scena filmu to poranek — Łopot opuszcza mieszkanie dziewczyny u której spędził właśnie noc.

Z ukrycia śledzi bohatera zakochana w nim sąsiadka. Spotkamy ją później na sali

Potyczka w sali rozpraw trwa. Wkrótce ciężar oskarżenia przesunięty zostanie na stronę Bartoszka. Film konfliktów moralnych zbliża się do jednej ze swych kulminacji. Aż szkoda, że się miało okazję obejrzeć tylko kilka fragmentów. Wychodząc z atelier myślałem o trudnych życiowych sprawach, o ludzkiej krzywdzie, człowieczym bólu i żalu. Społeczna potrzeba tego typu obrazów chyba nie pozostawia wątpliwości. To dobrze, że „Gwiazdy” już za parę miesięcy będą mogły zawitać na nasze ekrany.



ŁÓDZKIE XX LECIE

OPERETKA

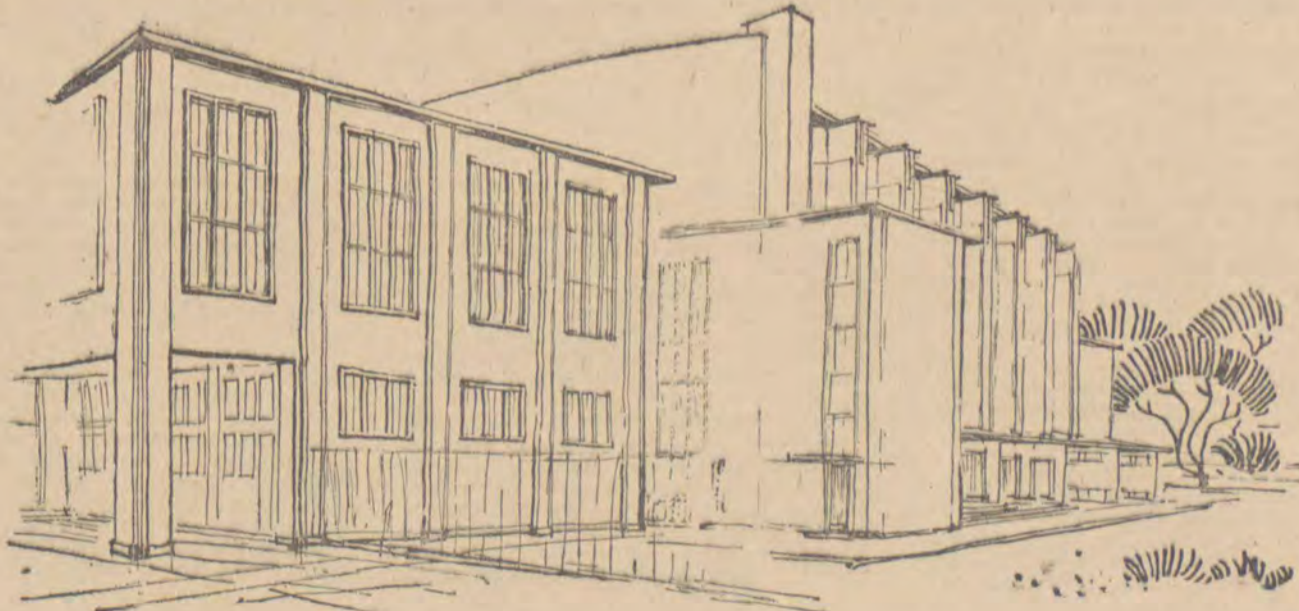
MYŚL: Nie jest dla nikogo tajemnicą, że lekka muzyka cieszy się w Łodzi szczególnym powodzeniem. Nie było również dla nikogo tajemnicą, że stary gmach Operetki przy ul. Piotrkowskiej dosyć już się wysunął. W połowie lat pięćdziesiątych powstała myśl zbudowania nowej Operetki. Myśl rozpoczęto realizować w 1957 roku, w lipcu 1964 roku Operetka została oddana do użytku.

DANE: Kubatura — 34 tysiące 600 metrów sześciennych. Ilość miejsc — 1.100. Amfiteatralna widownia zapewnia doskonałą widoczność z każdego punktu na sali. Obszerne, wygodne foyer, dwie duże, tzw. kieszeniowe szatnie. Nowoczesny kanał dla orkiestry.

PROJEKTANT: mgr inż. arch. Tadeusz Melchinkiewicz. Autorzy wystroju plastyczno-rzeźbiarskiego: — Albin Lubniewicz, Zdzisław Sikorski i Tadeusz Gryglol.

KOSZT: 33 miliony złotych. W budowie Operetki partycypował częściowo SFOS.

Rysował: inż. TADEUSZ MELCHINKIEWICZ



Najpiękniejsza pani Polski Historia kanikularna

Dalszy ciąg ze str. 1

dziwiliwej przez carycę Katarzynę II. Zmęczony jeszcze oślepiającym słońcem wzrok ślizga się leniwie po boazeriach, zegarach, angielskich fotelach, rzeźbach, sieni i szatni, po ścianach i suficie klatki schodowej, wykładanych jedenastoma tysiącami „tafelek farfuruowych holenderskich”, zdobionych niebieskimi malowidłami z życia wiejskiego, wśród których nie ma dwóch o podobnym wzorze. Przyłączył do wycieczki szkolnych maluchów trochę galopujemy po muzeum, zostawiając sobie na później dokładne obejrzenie rzeźb, amorków z gruszkowego drzewa i portretów, portretów, nawet tego — Stanisława Augusta Poniatowskiego pedzła Bacciarellego. Dzieci przepychają się i tłoczą niektóre mało co widzą zza pleców starszaków. Hanna mówi: „Może te dzieci nie wiele rozumieją i postrzegają, ale tak właśnie, od dziecka winno się kształtować smak i zamiłowanie do rzeczy pięknych, co w nich zawsze zostanie”. Ja przypominam sobie podobne maluchy, siedzące na podłodze nowojorskiego Metropolitan Museum, słuchające świętynie prowadzonej lekcji sztuk pięknych przez specjalnego pedagoga, który ucząc zabawiał dzieci anegdotami, prowokował do wypowiedzi, śmiechu.

Przechodzimy do pokoiów słuchając jak przewodniczka mówi miękko, cierpliwie, prosto, jakby opowiadała dzieciom bajkę: „A tu jest Biała Sala, tu się odbywały bały, w rogu jest kapliczka, bo w niedziele sala ta była kaplicą dla księstwa. Zobaczcie jakie piękne są zwieńczenia na suficie i wspaniałe rozety... A to jest skóra białego niedźwiedzia, którego sam Książę Pan upolował... A tu jest Gabinet Żółty, żółty dlatego, bo ściany tego pokoju są wykładane jedwabiem w białe i żółte pasy, ujętym w złoczone listwy z ornamentem roślinnym...”

Jedwab w żółte pasy, niestety, zwisa w żalonych strzępach. „Nowe obicia, które miały być sprowadzone z zagranicy i kosztować furę dewiz, zostaną wyprodukowane w kraju. Nieborów już otrzymał próbki, zaprojektowane przez warszawską wzorcownię tkanin jedwabnych — tłumaczy nam potem kustosz muzeum — próbki są udane, ale ściany będzie można ościć po generalnym remoncie wnętrza gmachu; trzeba przerobić urządzenie elektryczne, całkowicie zmienić kanalizacyjne, wadliwie przeprowadzone przez któregoś z ostatnich Radziwiłłów. Dopiero co skończyliśmy remont zewnętrzny, bojowaliśmy z grzybem, który podziął pod pierwsze piętro, zzerając ściany, grożąc zażytkom. Oby tylko ten remont nie zamienił pałacu w plac budowy na dziesiątki lat” — kończy nasz uprzejmy kustosz.

Ale bliźnijmy za dziećmi, patrzmy jak słuchają z rozziwionymi buziakami; przewodniczka mówi: „A tu... A tu... A tu znowu jest sekretarz Księżnej Pani, przy którym zawsze pisywała swoje listki; spojrzcie teraz na ten piękny porcelanowy zyrandol, a tu widzicie ten oryginalny instrument, to jest szklana harmonika. Składa się z 47 szklanych klozsy, grało się na niej, naciskając pedał i zwilżając palce...”

Hanna szepce mi w ucho: „Nie zwilżano się, tylko w kanale pod klozami była woda i klozse, poruszając się, były mokre”. Taką harmonikę miał na myśli Mickiewicz, pisząc w „Dziadach”: „Ja mistrz Wyciągam aż w niebiosy i kładę me dłoń na gwiazdach, jak na szklanej harmoniki kregach...”

I już bliźnijmy do sypialni Księżnej Pani, słuchając: „A to jest sypialnia księżnej, dawniej nad tym łóżkiem był baldachim, ale później... A tu Gabinet Zielony, popatrzcie jak piękny jest ten piec z kafli holenderskich; ten pokój jest już odnowiony, obity jedwabnym rysem milanowskim w kolorze szarmonizowanym z malowidłami na kafflach. A teraz, dzieci, przejdziemy (przechodzimy grzecznie) do Biblioteki, patrzcie, dzieci, (patrzmy) na

te angielskie szafy, takiego zestawu nie ma w całej Polsce, a ta kanapa jest obita czerwona, miękka skóra, pokój — zaś niebieskim pluszem, księgozbiór we wszystkich językach świata... kryształowe świeczniki, lampy, dawniej były naftowe, później podłączono elektryczność; tu się teraz zbierają artyści i uczeni z całego świata, obradują, pracują, koncertują, czytają wiersze... A tu, dzieci (Haniu, dziecku, patrz uważnie, nie oglądaj się!) przypatrzcie się tym dwóm ogromnym globusom. Jeden to globus ziemi, drugi globus nieba z gwiazdnymi konstelacjami — dawniej stały one w Wersalu, ale król francuski Ludwik XVIII zadłużył się u naszego księcia Michała Hieronima Radziwiłła i spłacił ten dług takimi właśnie skarabami. A teraz przejdźmy do Pokoju Czerwonego, jeszcze tylko rzucicie okiem na ten piękny zegar, on chodzi już dwieście lat. W tym pokoju zwróćcie uwagę na piękny piec z kafli nieborowskich, tu, w pobliżu, była dawniej fabryka majoliki, zwana manufakturą nieborowską, wyrabiała wazony, talerze, świeczniki, kaffe, a tu... Dzieci nie deptać dywanu, to zabytek, a tu, widzicie ten portret?...”

Właśnie. O ten portret mi chodziło. Mój rozleniwiony od upału mózg podczas całej jazdy samochodem czepiał się zatopionych w pamięci rysów, kołował przy jakichś splatanych losach ludzkich, zamietanych z lektury pamiętników z czasów saskich i nagle jest, właśnie tutaj ten portret kobiecej nadnaturalnej wielkości — w nieborowskim Pokoju Czerwonym.

Malowany przez Antoine Pesne, utrzymany cały w tonacji szaro-niebieskiej, wisi nad rokokową kanapką tzw. confidente, stanowiąc kolorystycznie ciekawy kontrast ze ścianami salonu, pokrytymi karminowym adamaszkiem w niktę białe kwiaty. Jedwabiem tym obite są wszystkie meble, z niego też są portyery nad

zbudował dla niej w Warszawie Błękitny Pałac?

Ale dlaczego August właśnie dla niej zbudował pałac, kim była dla niego ta dama z portretu — kuzynką, żoną, narzeczoną czy faworytą — tego już przewodniczka nie mówi, tego się dzieciom nie powiada. Nas jednak zaintrygowało podobieństwo rysów damy do rysów króla i oto — już jesteśmy na tropie jednego z głoszących w świecie królewskich romanów saskich. Znaście tę historię? „Znaście, no to posłuchajcie” — jak mówił pan Jowialski.

Cofnijmy się w przeszłość, ta historia jest w sam raz na kanikule, nie zmęczycie się bardzo. Oto jesteśmy w Warszawie; jest rok 1701. August II przyjechał właśnie z Drezna do Warszawy ze swoją oficjalną faworytą, dobrze nam znaną z Kraszewskiego, hrabiną Cosel, zamieszkał z nią na Zamku Królewskim, aby tu sposobie się do wojny, którą w Inflantach gotował przeciw Polsce Karol XII. A tu się hyr fród utytułowanych kawalerów i oficerów roznosi — podają to za Bartoszewiczem i Szenicem — o urodzie warszawskiej winiarce Henryety, żonie kupca Duvala, nad którą nie masz ponoć w Polsce bardziej urodziwej białej głowy. August wymyka się zazdrosnym spojrzeniom swojej Coselki i w przebraniu spieszy do winiarni Duvala. Tam w osobnym wynajętym pokoju zawiązuje się nowy romans kochliwego króla, którego hość oficjalnych metras da się zliczyć dopiero na palcach obu rąk: dzieci nieślubnych także ma król ośmioro, ale tych adoptowanych i podniesionych do godności dworskich, bo co do reszty — głosi fama ludowa, że rozamorzony król rozsiadł ich po świecie tyle, ile jest dni w roku.

Początkowy opór Henryety przelamuje jej własna matka: czyż można odmawiać miłości samemu królowi? Niebawem na

i temperament. W kronikach niewiele znajduje się materiału na to, jak minęło dzieciństwo Anusi, postać ta dopiero wypływa na widownię życia publicznego, jako już piękna, rosła dama, zaadoptowana przez króla, nosząca nazwisko i tytuł hrabiny Orzelskiej, pochodząca zapewne od polskiego herbu koronnego — orla. Pamięć niki mówią nie tylko o urodzie hrabiny, ale o jej wykształceniu, czytaniu i guście do poezji.

Dla niej to August zbudował ów Pałac Błękitny — i jak powiada Bartoszewicz — stanął ten „gmach okazały w przeciągu sześciu tygodni, robota odbywała się w porze jesiennej, tuż pod zimą, spędził ze wszech stron cieśle, murarze i inni budowniczy dzień i noc bezustannie pracowali; we dnie przysiewało im słońce przez mgłę jesienną, a w nocy tysiące pochodni rozdzielało wdnokrag zasnuły czarną zasłoną”. Opowiadano, że król tajemniczo „sklepienie” zbudował kazał między pałacem Morsztynów, a pałacem hrabiny Orzelskiej, aby mieć skryte przejście do niej w dzień i w nocy, mówiono, że hrabina nie opuszcza boku królewskiego. Ona to czyniła honory domu królewskiego, jej podarował rodowe klejnoty królewskie, dla niej urządził buczne zabawy dworskie, festyny, wraz ze sławnym kampanentem w Wilanowie.

A ludek warszawski snuł domysły, utytułowane damy te — powiadają — odrącone przez króla jako pretendenci do ról królowych, czy choćby oficjalnych faworyt — szepca z za drogi wachlaryz o kazirodczej miłości pięćdziesięcioletniego króla do dwudziestoletniej, nieprawej, ale własnej córki. Dworacy, płoteczki te zanoszą chętnie na przedpokoj i do winiarni i — snują się dymy po literaturze o tej osłupiającej miłości króla, choć wiek szóstki historyków widzi w niej tylko miłość ojcowską, w co nie mamy powodu nie wierzyć.

Dziwne potoczyły się losy tej pięknej, zdawałoby się tak szczęśliwie wyniesionej przez los kobiety. Mogła być pozostać jedną z pierwszych dam w Polsce, niezależną od łask dworu saskiego, kochał się przecież w niej Jan Cetner, wojewódz smoleński, Annie też nie był obojętny, a jednak czy to, że ojciec chciał to nieprawe dziecko spłodzone z mieszczką ozdo bić blaskiem miły księżę, czy dla innych powodów — wyszła piękna dama za niebogatą księżatkę holenderską, która „dóbr doczesnych nie miała, za to rozległe kolizacje” z wieloma dworami arystokracji całej Europy.

I dziwny to był związek. Opowiada Szenic, że gdy księżna Anna Holsztyńska wjazowała do stolic Europy i wracała stamtąd do Polski, jechała przodem z orszakiem godnym królowej, a dopiero w parę godzin za nią posuwał się bez orszaku i z niewielką służbą jej książę-małżonek. Przyjście dziecka nie uratowało związku, w końcu księżna rozwiodła się z księciem, opuściła Saksonię i zamieszkała w Wenecji. Kiedy chciała się osiedlić we Francji (i ponoć założyć dom gry) napotkała na opór, maczał w tym palce i jej brat hr. Maurycy Saski, z trudem uzyskała zezwolenie na zamieszkanie ale nie w Paryżu czy pod Paryżem, lecz — niczym banitka — w małym Avignonie. Tak minęła jej świętość — jaka przeżywała w Polsce, tak minęło bogactwo — Orzelska wychodząc za mąż nawet musiała zwrócić ro dowe klejnoty królewskie; o dalszych jej losach niewiele jest wiadomo. Z jej czaru, urody i fortuny — pozostało trwałsze ponad to wszystko — dzieło sztuki, ów nieborowski portret damy z pieskiem i — anegdotka, opowiedziana mi pod portretem przez Hannę Małkowską, która tu przebywała kilka lat temu, a słysząc że dozorca wola na swojego szeczenia „Orzel szczak, sam tu, do nogi!” zapytała „Dlaczego „Orzelszczak?”, a wtedy dozorca: „A toć to taki sam pies, jakiego ma pani hrabina Orzelska na portrecie”.

Tak też i ze świetności dawnych właścicieli pałacu w Nieborowie — Radziejowskich, Ogińskich, Radziwiłłów — zostało to, co potrafiły stworzyć ręce artystów, architektów, malarzy, rzeźbiarzy, ręce artystów-rzemieślników; ów bezcenny zbiór przedmiotów sztuki, który trzeba zobaczyć, bo opisanie ich jest niemożliwe. Na powstanie tej fortuny złożyło się z jednej strony zamiłowanie magnackich rodów do sztuk pięknych, do lokowania w tych dziełach gotowizny, z drugiej — trud pańszczyźnianych chłopów, którzy w księstwie nieborowskim pracowali na „pańskim” nie raz i sześć dni w tygodniu. Podobnie jak fellachowie egipscy, jak tamci niewolnicy wnosili faraonom piramidy, tak tutaj — o. i. ci pańszczyźniani chłopci, i ci na „Janach” osiadli i „komornicy” i rzemieślnicy, kupowali i sprzedawali wraz z ziemią, właśnie i oni pracowali na nasze pomniki kultury, Nieświeże, Nieborowy, odrabiając różne dni „clagie” i „piesze” i „sprzężajne” i „meszne” i wnosząc opłaty do skarbu książęcego.

Opuszczamy pałac, zostawiając w nim naszego młodego plastyka, aby w spokoju wyszukał sobie motywy do ilustracji. Nie umawiamy się, co będzie rysował — narysował, jak się okazuje, Pokój Czerwony ten właśnie z portretem Anny Orzelskiej.

Schodzimy w dół, przed nami dudnią po schodach magnackiego pałacu nogi chłopskich dzieci ze szkoły wiejskiej, rozbiegają się po ogrodzie angielskim, posród strzyżonych szpalców.

Jest w pustce konnata i alej parkowych smutek — nieunikniony historyczny smutek przemijania świetności wielkich rodów, jest w tym dudnieniu nóg dzieci chłopskich, praprawnuków owych pańszczyźnianych chłopów — rytym prawdziwości historycznej.

WANDA KARCZEWSKA



Rys. Janusz Wiktorowski

drzwiami, liczące sobie 150 lat. Portret ukazuje kobietę słusznego wzrostu, niezwykłej urody, w kunsztownej fryzurze, przetykanej drogi kamieniami. Krynolina z błękitnej koronki z dekoltem wyciętym w medalion podkreśla wspaniałą budowę tego kobiecego ciała. Dama trzyma na reku psa, (bodał pinczera), z dłoń damy z pieskiem zwisa laseczka pas terska; tak mi się przynajmniej widzi. Z jej twarzy o żywych, ciemnych oczach bije niewyżyty czar, zalotność, inteligencja.

Kim jest ta kobieta, o której przewodniczka mówi dzieciom, że była najpiękniejszą panią Polski, kochała się w niebieskim kolorze, zawsze ubierała się w ten kolor, jej powóz, liberie stanęto i wewnątrz pokoiów utrzymane były w tym tonie i że król August II zwany Mocnym,

pokoje królewskie zaczyna się przemykać w tajemnicy przed zazdrosną hrabiną Cosel piękny i zgrabny kawaler. Dopiero burzliwe sceny zazdrości hrabiny przepłaznia Henryety z Zamku, ona to była tajemniczym gościem, w przebraniu męskim nawiedzając króla. August skruszony, przynajmniej do romansu z warszawską mieszczką, przeprosiny nastąpiły chyba w łóżu królewskim, jako że hrabina Cosel wkrótce powiła królowi córkę.

A pani Duval? Zapomniana, poniechana? Pani Duval także w tym czasie powiła córkę — ową właśnie znaną z portretu w Nieborowie, Anusię, czyli piękną Anette, która po matce odziedziczyła anizm i zalotność winiarce, po ojcu królewską postawę i wzrost szusny, po obojgu urodę, zmysłowość, ochotę do zabaw

O CALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Zal mi pisarzy, którzy podlegają procesowi zapomnienia, i cóż z tego, że są to najczęściej twórcy nie najwybitniejsi, i na inny los dzieła ich liczyć nie może. Fakt ów czyni żal mój jeszcze głębszym, bardziej dojmującym. Żal bowiem nie tylko dzieła, które nie wytrzymały próby czasu. Żal człowieka, skazanego na zapomnienie, na wymazanie z pamięci ludzi żyjących. Zawsze miałem ogromną sympatię do Juliana Tuwima za to, że odgrzebywał wiersze poetów zapomnianych i przywracał je świadomości współczesnych. Czas jest okrutny, a człowiek walczy, z tym okrutnym, najczęściej bez rezultatu. Ocalić od zapomnienia? Jeśli dzieło nie ocali się samo mocą swego talentu, nie mu nasz wysiłek nie pomoże. Jeśli więc można coś zrobić, to jedynie przypominając od czasu do czasu tych, o których nawet w kręgu specjalistów głucho od dawna.

Cheć właśnie przypomnieć pisarza, w swoim czasie znałego popularnego, a dziś po grążonej w mrocznej ręce niepamięci. Jest nim Henryk Zbierzchowski. Kiedy parę lat temu znalazłem się w Krynicy, poszedłem na cmentarz zdrowy, wiedząc, że został tam pochowany (zmarł 6 listopada 1941 roku) Henryk Grzymała Zbierzchowski, poeta-literat, laureat m. Lwowa, autor wielu wierszy lirycznych i satyrycznych, komedii, powieści i rozrzuconych po czasopiśmie drobnych utworów literackich. W kaplicy emmentarnej jest krypta, a raczej po prostu piwnica zamknięta na żelazne drzwi i na klucz, w której znajdują się cztery groby, wśród nich grób Zbierzchowskiego. Grabarz, będący w posiadaniu klucza, oświadczył mi, że Henryka Zbierzchowskiego „trzeba będzie stąd wyrzucić” (tak się wyraził), ponieważ od lat siedemnaście nikt nie uiszcza za jego „krypte” opłaty, wynoszącej 30 złotych miesięcznie. Próbowałem zainteresować tą sprawą krakowski Związek Literatów, jako opiekun gospodarza terenu. Któż bowiem ma się opiekować zmarłym pisarzem, jeśli nie ich żyjący koledzy? Ale czy coś z tego wyszło — nie wiem. Osobiście uważam, że trumną Henryka Zbierzchowskiego winno się wynieść z zatachłej krypty-piwnicy do nowego, zaplanowanego w Dolnej Krynicy cmentarza, gdzie grób poety byłby dostojny wszystkim, a nazwisko jego rzucano by się w oczy. Tymczasem tak jak sprawy stoją (a przynajmniej jak stały do niedawna), nikt nie wie, że w zamkniętej na trzy pustej piwnicy spoczywa poeta, głośny niegdyś i znany.

Przed samą wojną należałem do amatorskiego zespołu teatralnego, który przygotował m. in. do wystawienia komedii Zbierzchowskiego

„Kłopoty pana Złopolskiego”. Pamiętam, że napisaliśmy wówczas do autora, by powiadomił go o tym „ważnym” wydarzeniu. Odpisał nam miły list, ale niestety nie zachował się on w moich zbiorach zagubiony gdzieś w czasie wojennej tułaczki. Henryk Zbierzchowski, urodzony 19 listopada 1881 roku we Lwowie prawnik z wykształcenia pisał bardzo wiele i w swoim czasie był współpracownikiem czołowych pism literackich w Polsce jak „Życie”, „Chimera”, „Sfinks”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Biuletyn literacki” i inne. Dziś zdarza się czasami natrafić na antykwariacie na jego obszerny zbiór wierszy „Ogród życia”, wydany przed drugą wojną światową we Lwowie, nakładem Księgarni Polskiej Bernarda Polonieckiego. Zbierzchowski nie otwierał nowych dróg w poezji, nie wytyczał awangardowych szlaków. Wykorzystywał stare, zastane formy do wyrażania swoich impresji poetyckich (pierwszy tom jego wierszy nosił tytuł „Impresje”). Jego wiersze świetnie nadawały się do albumów, do czytania na akademiach, w grobie rodzinnym i towarzyskim. Pisał prostym, prawie banalnym językiem, a jednak odnajdywało się w tych jego wierszach autentyczny, szczerzy żywioł liryczny. Oto dla przykładu, strofa z wiersza „Moja wnuczka”:

Choćby wkroczyłem w tą
życia połowę

W której się zwolna dogasa
jak świecznik,
Ciągłe za tobą odwracam
swą głowę
Tak jak za słońcem odwraca
słonecznik.

Był czas, że Zbierzchowski umieszczał codziennie w gazecie swoje wiersze-felietony. Pisał je w kawiarni lwowskiej, u Sznajdra, jak wiedeńczyk Plotr Altenberg, na serwetkach. Był Zbierzchowski pierwszym nowoczesnym autorem tekstów piosenek, śpiewanych przezwadnie przez jego żonę, Inę Zadorę, na estradach. Redagował „Szczotka” i pisywał w nim wiersze satyryczne, m. in. głośny w swoim czasie utwór pt. „Dlaczego jestem lewicowcem”.

Wśród doszczętnie i całkowicie zapomnianych jego poezji były takie jak „Przed wchodem słońca”, „Na złotej przelocie”, „Malarze”, „Literat”, „Stepowa panienka”, pisane w sosie moderny, nie bez winy Przybyszewskiego, który z właściwą mu przesadą pasował młodego pisarza na wieszca. Henryk Zbierzchowski zaliczany był do tzw. cudownych dzieci. Jeszcze jako uczeń gimnazjum napisał dramat z życia Mickiewicza pt. „Rok 1838”, nagrodzony na konkursie Mickiewiczowskim w Poznaniu i następnie tamże wystawiony. Było to w roku 1898 czyli wówczas, gdy Zbierzchowski miał lat siedemnaście. Ale z cudownych dzieci rzadko wyrastają geniusze. Zbierzchowski jak

wielu pisarzy tamtej epoki (i zresztą nie tylko tamtej) rozpił się. Alkoholem był jego wiernym i nieodstępnym towarzyszem. Pisał „na gaziku”, co musiało odbić się na jakości jego utworów. Nie pozbawione wdzięku i lekkości, pozbawione jednak były głębszej oryginalnej nuty. Były jak jednodniowe łąki. Wieczorem napisane, rano wydrukowane w dzienniku, przeczytane i zapomniane. Dział trudno byłoby do trzecich do tych pozostłych gazet, w których utonął jego wiersze. Dodajmy: gdzie utonął również jego talent. O Zbierzchowskim można bowiem powiedzieć, że nie tylko nie wyżył talentu, ale że go zmarnował. A przecież pisał o nim tacy krytycy jak Ostap Ortwin i Stanisław Wasylewski. Przytoczę tu dwa nazwiska i oto uświadomię sobie, że i oni popadli w rychłe zapomnienie. A zwłaszcza Ostap Ortwin, krytyk poważny i eseiista wyśmienity. Jego „Próba przekrojów”, zawierająca studia nad teatrem, literaturą i powieścią z lat 1900—1935, nie jest książką zwietrzałą. Wiele jego sądów i ocen do dziś zachowało swoją wagę i świeżość. Zachował ją również szkice o liryce Henryka Zbierzchowskiego, na pisany ze wszystkimi powabami stylu Ortwina.

Obaj, Henryk Zbierzchowski i Ostap Ortwin, zmarli w czasie wojny i należą do epoki minioniej. Ale nie wszystko z tej epoki należy do przeszłości.

Jankoprowski

STANISŁAW
CZERNIK

O Wierszach
w t. SŁOBODNIKA

Najnowszy tomik wierszy Włodzimierza Słobodnika bardzo dobrze został określony przez tytuł: „Listy z Paryża”. Zwały cykl okolicznościowej poezji podróży czy może raczej turystycznej nasuwa liczne reminiscencje z zakresu geografii poetyckiej, choćby tylko polsko-paryskiej „o tym — że dumać na paryskim bruku”, „Nowa Sodom! pośród tych kamieni!” — apoteoza Słowackiego do miasta nad Sekwaną, wreszcie „rzeczy” norwidowskie, a także bliższe współczesności „Czechowiczka lub „Paryż” Kossak-Pawlikowskiej, w którym wszyscy chodzą pod ramie i myślą: Douce France — że przykładowo tylko wymienię kilka pozycji z górniejszych regionów. Sam Paryż tylko w naszej geografii poetyckiej mógłby dać bogatą i uroczą antologię.

Geografia poetycka! Gdyby ktoś wybrał i zestawiał wiersze — książkę ciekawą, a może także osobliwie zabawną. W każdym razie propozycja godna uwagi inteligentnych zbieraczy, znakomite, bynajmniej nie banalne hobby, pokrewnie najwyższym reje-

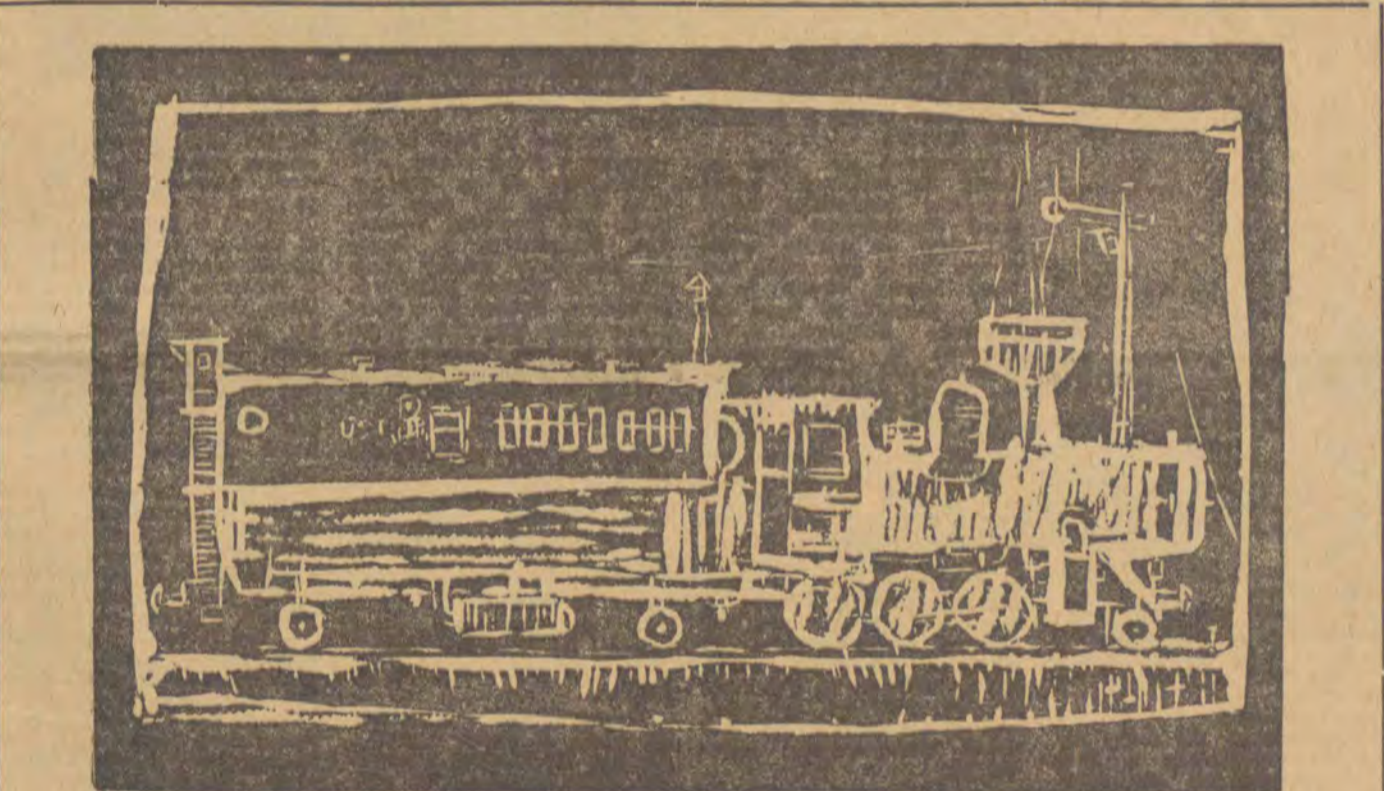
strom filatelistyki i być może równie pasjonujące „szerokim oddechem światła” zamkniętego w albumie. A bogactwo przedmiotu zwłaszcza ostatnio, w okresie naszego wzmożonych (choćby wciąż jeszcze niewystarczających) wędrowek poetyckich rozszerza się znacznie. Dla przykładu: równocześnie z tomikiem Słobodnika ukazał się „Cień czasu” Mariana Kubickiego, w którym spotykamy motywy z Hiszpanii, Japonii, Singapuru i Szanghaju. Proponuję organizowanie podróży poetyckich naokoło świata.

W dzisiejszych czasach nie pisze się długich listów, tym bardziej z podróży. Toteż paryskie listy Słobodnika są co najwyżej kartkami, pocztówkami, a czasem przypominają telegram. Miniatury, powiedzy od razu — bardzo zorganizowane miniatury. Poeta nie zgubił się w tematyce paryskiej, nie zamierzył dać „wszystkiego”, nie pretendował do „summy”, ograniczając się szczerze do jak najbardziej wyrazistych szczegółów interesujących jego wyobraźnię poetycką. Przede wszystkim jest tu Paryż wybranych poetów, Paryż Villona z trzema ezbanami wina; życia, śmierci i zadumy nad życiem i śmiercią, Paryż „małego baru”, z którego wylatują niespodziewane ptaki poezji, Paryż Verlaine’a i Rimbauda. Przypomnienia: „ta uliczka sędzi niegdyś Apollinaire’a”. Jakże tu nie spotkać się z „kwiatami” Baudelaire’a? Powaga i ironia nastroja dom Wiktora Hugo, szepotniska smutkiem pomnik Musseta.

Polonia paryskie wysnute z aluzji literackich i materiałów muzealno-archiwalnych. Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Norwid. Nie więcej. Moje i słusznie. Zwłaszcza, że przeciwstawił im poeta „drugą stronę wiersz nad Sekwaną” — przejmująca litania górników polskich we Francji oraz nostalgiczne polskiego Żyda-emigranta, wymawiającego wyrazy „Polska” i „Kutno”, tak jakby mówił „matka”, „jakby układał słowa z listków i cisniów brzozy”.

Jeżeli chodzi o rzeczy rdzenne paryskie, najbardziej zastanawia kontemplacja Notre Dame de Paris. Znużony hałasem naszego stulecia, wędrowiec pragnący odpocząć w potrojnym świetle i potrojnej ciszy katedry, spotyka przede wszystkim chimery i do dna przesywający ziemię i niebo wzrok Diabła Myśliciele. Jakby przeciwstawienie tego niepokoju — osobliwość wśród paryskiego ludu sprzedawców, bileterek, śmieciarek, clocharów, grajków i malarzy ulicznych — egzotyka i nowoczesność: Murzyn-ksiądz na motocyklu, który buczy na bulwarze jak anioł zmotoryzowany. Przed stu laty z podobnym egzotykiem, jeszcze nie zmotoryzowanym, spotykał się Norwid: „Idzie Arab z kapłańskim ruszeniem słowy — biały, jak status z kości słońskiej” (cytat z „Vade-mecum”).

Uroda tych wierszy wynika z osobliwego wdzięku, swobody i lekkości. „Na Polach Elijskich samochód przejechał liść”. Oto przykład wdzięku, uśmiechniętego wdzięku, bardzo własny, nie tylko osobliwy, ale i osobisty — po prostu słobodnikowski. Po taką frazę warto było jechać do Paryża.



I. Ziółkowski, PWSSP, rok V.

Pracownia doc. St. Krygiera.

**Notatnik
KUPU
RALNY**

PONIEDZIAŁEK
Kiedy powiedziałem pewnemu panu z „Pałacyku”, że odnotuję w tym miesięczniku wystawę „Galerii 20” ten pokławił głową z pozbawieniem: „Ach tak, że to niby sympatyczna inicjatywa, że ładne itp.”. Przykro mi, ale się nie zrozumieliśmy. Oczywiście inicjatywa stworzenia w Łodzi nowego salonu wystawowego musi cieszyć, ale... Obrazy sześciu malarzy wystawione w pałacyku mogą mi się po-

dobać — lub nie — to jednak mało ważne, bo krytykiem nie jestem i moje zdanie tu się nie liczy. Zdziwiło mnie natomiast zdanie z katalogu: „Zakłada się, że galeria nie ma ściśle określonego programu”. Wtęć jak to? Młodzi malarze tworzący pod auspicjami KŁ ZMS galerii wystawowej — nie mają własnej koncepcji malowanego świata, o nie nie chcą wiedzieć? Gdzież więc ta ich młodość, gdzie ideał? Na luksus nieposiadania określonego programu mogą sobie pozwolić stare ziemiechy malarzkie — ale młodzi? Dla tego właśnie nie napiszę o inicjatywie młodych, że jest ładna i sympatyczna. To zdanie z katalogu zastanowiło mnie.

WTOREK
W barach szybko obsługiwał żurek z kaszanką czekał się 30 minut, w pralniach superexpressowych na wypranie kożuszków czekało się 10 minut. Po szedłem więc sobie do biblioteki LDK, aby zobaczyć jak działa wypróżniacz służący do obsługi. Coś takiego zamontowano tu niedawno, jako pierw-

szą w Polsce odpowiedź na artykuł „Polityka” postulujący tworzenie superexpressowych wypróżniaczy. W bibliotecznych superexpressach dostają można oczywiście wyłączenie dania świeżo i wysokoekologicznie. A co ważniejsze, bez specjalnego tłoku i czekania. Pewno dlatego, że żurek z kaszanką jest strawa — co tu kryć — cieszącą się większym poparciem niż np. „Zmierzch Naftowego Imperium”. Po myśli expressowego wypróżniacza nowości jest pomysłem świetnym. Łódzka realizacja tego pomysłu, wybitnie udana. Superexpressy praktyczne i gastronomiczne mogłyby się tu czegoś nauczyć.

ŚRODA
Przyjechali goście. Ponad 30 studentów z Jurgosławii, Włoch, Finlandii, Szwecji, NRF, Szwajcarii i Kenii przybyło do Łodzi na zaproszenie ZSP. Z kolei łódzcy studenci wyjechali do Niemiec i Szwajcarii. W Łodzi jest co zwiedzać, zwłaszcza mają co zwiedzać studenci specjalności polittechniczne, a tak się właśnie zdarzało, że gościmy studentów wydziałów technicznych. Planuje się też wycieczki studentów z wydziałów humanistycznych. Tylko z tym bieda — co im pokazać w ogorkowym sezonie? „Widła i Wacka”? Remontowaną (któryż to raz?) galerię sztuki? Pozostawmy więc może przy wakacyjnej wymianie przywleczki inżynierów. W przemyśle na szczycie „ogorków” nie ma.

CZWARTEK
Zbulwersowała mnie ta informacja. Orbis jesienią znacznie organizowaliśmy uczniom szkół średnich wycieczki do Drezna i Miśni, do Goerlitz i Budziszyna. Takie lekcje historii starej (Słowianie Łużyccy) i najnowszej (szlak II Armii WP) na pewno obok niewątpliwie atrakcyjności niosą z sobą duży ładunek wartości kształcących i poznawczych. Ceny podobno skalkulowano nisko. Dzwonię więc do Orbisu. Niestety — nie nie wiedza. Dzwonię pod inny numer — też nie. A tu sierpień już mamy, września tylko patrzeć. Prawdopodobnie łódzkie szkoły zostaną o możliwościach organizowania wycieczek poinformowane w ostatniej chwili. Dlatego półdług czas namawiam — dzwonić, alar muścić, pytać. Zbyt duża to frajda, że zagraniczną lekcję historii, aby łódzki uczniom miała przejść kolo nosa.

PIĄTEK
Grenlandia na pewno nie produkuje w świetle w produkcie lodówek. Po prostu są tam one niepotrzebne. Łódź nie jest mocarstwem w dziedzinie piakatu, ale piakat w Łodzi jest chyba potrzebny. Dopóty jednak nie zostanie (mimo całej grafomanii świetnych grajków) plakatomym mocarstwem, dopóki nie będzie u nas społecznego zapotrzebowania na piakat. Moją więc sens konkursem mimo początkowych niepowodzeń. A propos — jesienią na ulicach zobaczymy kolorowe efekty wczesnego konkursu na piakat o Łodzi. W tej chwili plastyki myśla nad konkursem na piakat teatralny. Dotychczas bowiem mamy w Łodzi w tej dziedzinie zwykłe afiszki literackie. Ładny kolorowy artystyczny plakaty teatralny, nawet jeśli nie napędzi do teatrów

więcej widzów, to zawsze spełni swoje zadanie. Będzie dobrą propagandą dobrej plastyki.

SOBOTA
Toż to taniucha. Za 1 rubel i 30 kopiejek można kupić cztery powieści. I to cztery dobre powieści. A jako premię duży i ciekawy szkic S. Larina o współczesnej polskiej powieści. „Współczesna polska powieść”, wydawnictwo „Młoda Gwardia”, Moskwa 1964. Nakład — bagatelka, u nas takich nakładów nie mają nawet poczytne kryminały — 65 tysięcy. W opastym kilkusetstronicowym tomie: „Podniesienie” Z. Nienackiego, „Południe” M. Patkowskiego, „Pasazjerka” Z. Posmyz i „Pogon za Adamem” J. Stawieńskiego. Radziecki krytyk Larin znany już w Polsce, pisze w szkicu o twierdzącym tom, że powieść Nienackiego jest bardzo istotnym głosem w sporze o współczesnego bohatera pozytywnego. To prawda. „Podniesienie” to historia narodzin mitu i historia pierwszych tygodni władzy ludowej — jest także wskazaniem bohatera pozytywnego w

tym najbardziej szlachetnym literacko sensie. A że recenzenci nie dość wnikliwie czytali powieść „Kto ich tam wie jeome-trów” — mówią w „Podniesieniu” chłopci szukający geometrii. „Kto ich tam wie krytyków” — wzdycham ja.

NIEDZIELA
Osiem bajecznie kolorowych druków. Tytuły: Łęczycza, Spala, Łowicz, Sieradz. Dobrych czy chociaż poprawnych przewodników i folderów mamy bardzo niewiele. Te osiem publikacji to także ładni ewenement, za który możemy dziękować entuzjastom turystyki z PITK. Nie jestem skłonny do łatwych zachwyty — barwny folder łódzkiego PITK są jednak bez zarzutu. Tak to u nas bywa. że czasem najróżniejszą prostą informacją — gdzie zaparkować samochód, gdzie przemocować, gdzie zjeść. Folder PITK dają to proste a nieodzowne informacje. Jest tylko jeden brak i jedno niedopatrzenie. Brak mi „prostej informacji”... gdzie kupić wspomniane foldery.

JERZY WILMAŃSKI



**Przedstawiam
Państwu
opowiadanie
którego nie
pozwolili mi
zrealizować w TV**

Alfred Hitchcock

Chcieliśmy pana zabić — powiedział Freddie Thompson.

Nie oczekiwałem takiego szacunku i poczułem się pochlebiany. Mimo to, zaprotestowałem.

— Nie wiem, czy będę dysponował czasem.

— To zabierze panu tylko kilka chwil, panie profesorze.

Graliśmy właśnie w moim pokoju w szachy z profesorem Hardingiem, gdy Freddie zastukał do drzwi. Freddie reprezentował komitet organizujący morderstwa.

Harding zapalił fajkę.

— W jaki sposób zamierzacie zabić profesora Raniera?

— Czysta z nas chciała podjąć profesorowi gardło odparł Freddie — Ale potem przypomniałem sobie, że w zeszłym roku zabiłbym nożem profesora Elberta. Nie chcemy się powtarzać. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na rewolwer.

— Kiedy zostanie zamordowany? — spytałem.

— Niebawem, panie profesorze — odparł Freddie. — Może jutro, może pojutrze. Chcieliśmy, by było to dla pana niespodzianka.

Każdego roku studenci prawa naszego uniwersytetu pozapowalili morderstwo, by potem móc przeprowadzić — oczywiście, na niby — śledztwo i sądzić — oczywiście, morderstwa była zazwyczaj odgrywana w obecności możliwie wielu zaskoczonych i niczego nie podejrzewających świadków, między innymi po to, by udowodnić w czasie procesu, że zeznanom naocznych świadków nie można ufać. Poprzedniego roku profesor Elbert został „zasyfletowany” w czasie przerwy w wykładach. Napaśnik uciekł i dopiero po kilku godzinach aresztowano go, a potem „osądzono”. „Morderstwa” dokonano w obecności dwudziestu ośmiu studentów. W czasie procesu złożono 28 różnych zeznań i morderca został niewinnie.

— Kto ma mnie zamordować? — spytałem.

Freddie uśmiechnął się.

— Jeszcze nie wybraliśmy mordercy. Jest wielu chętnych. Sądzimy, że wszystko pójdzie znakomicie i będzie wyglądało możliwie prawdopodobnie. O morderstwie wie tylko ofiara i komitet morderców. I pan, panie profesorze — zwrócił się do Hardinga.

— Nie piśn ani słowa — przyrzekł Harding.

Gdy Freddie wyszedł, wróciłem do gry.

JACK RICHIE KAŻDY MOŻE BYĆ MORDERCA

— Chcieliśmy pana zabić — powiedział Freddie Thompson. — W jaki sposób zamierzacie zabić profesora Raniera? — Czysta z nas chciała podjąć profesorowi gardło odparł Freddie — Ale potem przypomniałem sobie, że w zeszłym roku zabiłbym nożem profesora Elberta. Nie chcemy się powtarzać. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na rewolwer. — Kiedy zostanie zamordowany? — spytałem. — Niebawem, panie profesorze — odparł Freddie. — Może jutro, może pojutrze. Chcieliśmy, by było to dla pana niespodzianka.

Każdego roku studenci prawa naszego uniwersytetu pozapowalili morderstwo, by potem móc przeprowadzić — oczywiście, na niby — śledztwo i sądzić — oczywiście, morderstwa była zazwyczaj odgrywana w obecności możliwie wielu zaskoczonych i niczego nie podejrzewających świadków, między innymi po to, by udowodnić w czasie procesu, że zeznanom naocznych świadków nie można ufać. Poprzedniego roku profesor Elbert został „zasyfletowany” w czasie przerwy w wykładach. Napaśnik uciekł i dopiero po kilku godzinach aresztowano go, a potem „osądzono”. „Morderstwa” dokonano w obecności dwudziestu ośmiu studentów. W czasie procesu złożono 28 różnych zeznań i morderca został niewinnie.

— Kto ma mnie zamordować? — spytałem.

roku w Komitecie morderców?

— Roy Wickens.

— Taki wysoki, szczupły?

— Tak — odparł Harding. Zdaje się, że to przez pana studiuję drugi rok na trzecim kursie?

— Jestem profesorem uniwersytetu — odpowiedziałem — a nie niańką w przedszkolu.

Harding wygrał trzy partie pod rząd. Gdy odszedł, wzięłem książkę, ale litery skakały mi przed oczyma. Położyłem się spać.

Schodłem po schodach w gmachu biblioteki. Był piękny, świeży, słoneczny dzień. Na dole, przed biblioteką, stało w małych grupkach kilkudziesięciu studentów. Nagle kędzierzawy chłopiec w okularach podbiegł do mnie. Uśmiechał się ironicznie. Wymierzył pistolet w moją pierś i nagle oślepił mnie błysk wyrzutu.

Usiadłem na łóżku, czekając, aż ucichnie bicie serca. Po minucie zmusiłem się do uśmiechu. Podświadomość była perfidna.

Zasnęłem znowu, by gdzieś koło czwartej nad ranem raz jeszcze się obudzić. Tym razem przysnął mi się pogrzeb, którego główną atrakcją był mój trup w czarnym garniturze. Zapaliłem światło i wyrzekłem się następnego snu. Włożyłem szlafrok i przeszedłem do gabinetu. Czekając tam na mnie karty egzaminacyjne studentów. Trzeba było wystawić stopnie i przesłać karty do dziekanatu.

James Branner zasługiwał tylko na głębokie westchnienie. W jaki sposób ukończył szkołę? W jaki sposób doszedł do ostatniego roku studiów? Jego zadanie zasługiwało na trójkę. Ta trójka była, w moim głębokim przekonaniu, dowodem mego miłosierdzia. Wziąłem następną kartę, nadal myśląc o Brannerze. Jakże mogłem o tym zapomnieć! Branner był członkiem komitetu morderców. Skreśliłem trójkę i postawiłem czwórkę.

Pracowałem do wpół do ósmej. Do budynku prawa wszedłem dwadzieścia minut przed rozpoczęciem wykładu. Zajrzałem do pokoju profesora. Był w nim tylko profesor Lasson. Czytał gazetę i udawał, że mnie nie dostrzega. Skinałem głową, usiadłem w przeciwnym kącie pokoju zapaliłem fajkę. Odkąd udaremniłem starania tego Lassona o to, by jedna z jego książek uznana została za obowiązującą studentów podreżnik uniwersytecki, mój dawny przyjaciel udawał, że mnie nie dostrzega. Gdyby Lassonowi udało się przenieść swoją książkę na tak cenionym jak nasz uniwersytecie, z pewnością prawie wszystkie wydziały prawa w kraju poszłyby za naszym przykładem. Lasson nie był by na tym zarobił. Nie dziwnego, że przestał mi się kłaniać. Ale tym razem nieoczekiwanie odezwał się.

— Jak panu przypadła do gustu — spytał — rola zamordowanego?

— Wydawało mi się — odparłem — że nazwisko ofia-

ry jest tajemnicą Komitetu morderców.

Lasson wyszczerzył zęby.

— Przede mną — powiedział — komitet nie ma tajemnic. Jestem przecież strażnikiem broni. Nie możemy pozwolić, by broń znajdowała się w rękach studentów. Dla tego przechowuję pistolet. Do czasu, kiedy będzie użyty.

Być może, zawiniło oświecenie pokoju. Ale wydało mi się, że Lasson uśmiecha się złośliwie. Pomyślałem nagle, że zabójca nie musi być przecież student. I poprawiłem się w myśli: oczywiście, zabójcą na niby.

Lasson sięgnął do kieszeni

— Ciekawe — powiedział — czy kamizelka ochronna zatrzymałaby taki pocisk?

Zdecydowałem, że czas już iść na wykład.

Jak zwykle, Freddie Thompson siedział w pierwszym rzędzie. Obok niego usadowił się Roy Wickens. Gdzieś w kącie, zamysłony, tkwił James Branner, przypominający swym wyglądem człowieka pierwotnego. I Emmelina Grogan.

To była zwykła sprawa. Ale czy studentki muszą zawsze zakochiwać się w swoich profesorach? Gdy po kilku moich wykładach Emmelina przeniosła się do pierwszego rzędu, zmuszony byłem jej



i wyjął pistolet. Zamknąłem oczy.

— To jest ta broń — powiedział — ładna sztuka, nie? Zmusiłem się do otwarcia oczu. Pistolet był duży, kalibru, jak stwierdził Lasson, 0,38. Pomyślałem, że komitet morderców mógłby postawić się jakimś mniejszym pistoletem. Byłoby to z pewnością miłe wszystkim przyszłym ofiarom. Lasson znowu sięgnął do kieszeni.

— A oto ślepe naboże — powiedział.

— Z zadowoleniem stwierdziłem, że były to rzeczywiście ślepe naboże.

— A w tej kieszeni — powiedział Lasson i sięgnął do drugiej kieszeni — noszę prawdziwe. Śliczne, prawda?

Zależało to od tego, co kto uważa za śliczne.

— Wkładam je do innej kieszeni — wyjaśnił Lasson — by nie pomieszały się ze ślepyimi.

Poczułem, że zaczynam się pocić. A jeżeli Lasson... Ale nie. To przecież niemożliwe. Tylko dlatego, że ta głupia książka została odrzucona... Lasson włożył pistolet i naboże do kieszeni. Wszystkie, z wyjątkiem jednego. Nie był to ślepy nabój.

powiedzieć, że jestem dla niej znacznie za stary i że po śmierci mej pierwszej i ostatniej miłości, imieniem Lucinda, przysiągłem trwać aż do zgonu w stanie bezziennym. Opowiedział o tragicznej śmierci Lucindy — oczywiście, nie znalazłem nigdy żadnej Lucindy — uchroniła mnie przed miłością niejednej już studentki. Ale czy uchroni mnie przed Emmeliną?

O wpół do dziesiątej rozległ się dzwonek. Skończyłem wykład i studenci wybiegli z sali. Ale nie Emmelina. Patrzyła na mnie wiernie i z czułością.

— Życie idzie naprzód, profesorze — powiedziała. — Zapomni pan wreszcie o niej. — Nigdy — powiedziałem.

— Bardzo panu jej brak?

— O, tak — mój uśmiech wyrażał głębokie cierpienie.

— Być może — powiedziała Emmelina — niebawem pan ją zobaczy. Być może, szybciej, niż pan myśli.

Otarła łzę i wyszła z sali. Pomyślałem nagle, że i Emmelina jest przecież członkiem komitetu morderców. Nie miałem już tego dnia wykładów i wstąpiłem do biblioteki. O jedenaście zegnałem się z bibliotekarką i wyszedłem z budynku. Za-

trzymałem się na chwilę u szczytu schodów. Był piękny, świeży, słoneczny dzień. Na dole stało w małych grupkach kilkudziesięciu studentów. Był między nimi Freddie. Spojrzył ku mnie i uśmiechnął się. Obok niego stał James Branner. I nieopodal profesor Lasson. Czy czekał na coś? Na kogós? Uciekle z powrotem do biblioteki.

Otarłem pot z czoła i podszedłem do okna. Tak, czekał tam na mnie. A jeśli Lasson omylił się, wybierając naboże? A jeśli chciał się omylić? Tyłu wrogów! Czyżbym miał tyłu wrogów? Skąd? Dlaczego? Może byłem zbyt oschły? Może nawet nie-ludzki? Wyprostowałem się. Trzeba pozostać sobą. Do końca. Otworzyłem drzwi i stanąłem u szczytu schodów. Był piękny, świeży, słoneczny dzień. Zacząłem schodzić. Szybko, coraz szybciej.

Wszedł spośród studentów. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął ten wielki pistolet. Profesor Harding! Co mu zawiniłem? Kiedy? Nagle oślepił mnie błysk. Pistolet wypalił. I wszystko zgasło.

Wróciłem do przytomności, gdy wnieśli mnie do biblioteki i posadzili w fotelu.

— Niech pan otworzy oczy — usłyszałem głos Emmeliny Grogan. — Już po wszystkim.

— Był pan znakomity w tej roli — powiedział Freddie.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na koszulę. Ani śladu krwi. Rozpiąłem kołnierzyk i usłyszałem stukot własnego serca. Biło równo, coraz równiej. Zylem. Studenci zaczęli powoli się rozchodzić. Emmelina poklepała mnie nawet po ramieniu.

— Czy wierzy pan, profesorze — spytała — w wywołanie duchów? Mam na myśli seanse spirytystyczne. Moja ciotka tym się zajmuje. Mogłaby pana skontaktować z Lucindą. Niech pan się nad tym zastanowi. Tak pana lubię i tak boleję, widząc, jak pan cierpi.

Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdy profesor Harding wszedł tylnymi drzwiami do biblioteki. Promieniał z radości.

— Wszyscy byli zaskoczeni — powiedział. — Nie miałem najmniejszej trudności z ucieczką. Oczywiście, kilku studentów rozpoznało mnie i będziemy mieli rozprawę sądową. Ale sądzę, że gdybym się przebrał i choćby minimalnie ukształtował, pozostabym nierozpoznany. Tak łatwo jest popełnić morderstwo!

Wówczas właśnie zauważyłem profesora Lassona. Stał pod oknem, z ręką w kieszeni. Oczy mu błyszczały i uśmiechał się nieznanie. Zrozumiałem, że ostatnie słowa Hardinga naprowadziły go na pewną myśl. Zdałem sobie sprawę, że morderstwo może zostać popełnione w każdej chwili. W każdym czasie.

Być może, będzie to piękny, świeży, słoneczny dzień. Na dole, przed biblioteką będzie stało w małych grupkach kilkudziesięciu studentów. I nagle oślepi mnie błysk wyrzutu.

Z „Alfred Hitchcock's Mystery Magazine” tłumaczył: T. K.

Lewym okiem



W małej cichej...

Fala masowego kawopicia ogarnęła kraj cały. U każdego z kilkudziesięciu tysięcy dyrektorów różnego kalibru stół bez przerwy na biurku szklanka lub filiżanka. W sekretariatach parują maszyny, ekspresy, imbryki, woda kipie i zalewa akta „do podpisu”. Każda konferencja przerywa ceremonialne rozdanie liściczków i rewersane panów przy manipulowaniu cukierniczką. Ledwie do pija i ustala datę następnego spotkania — idą na kawę.

Oczywiście — jeżeli to się nie dzieje w Łodzi. W Łodzi na kawę nie pójdą. Wiemy już z „Odgłosów”, w której kawiarni emeryci grają w szachy, w której chcieliby siedzieć artyści, w której dziennikarze. Nie wiemy, gdzie jest dobra kawa i gdzie można by zwyczajnie wejść, złożyć nogę na nogę i puszczać wianuszki z dymu. Przepaszczam, wiemy. Nigdzie.

Gdzie można by uciąć półgłówną, spokojną rozmowę, zejść na godzinę z oczu znajomym, kolegom, szefom — niech by nawet żonie? Nigdzie.

Niektóre dobre żony mówią:

Jak ma się mój stary urząd, to już niech się urządza w domu. Dobra żona pije wtedy razem i jest dumna z podejścia. Młodsi ludzie — jak na mój gust trochę zbyt młodzi — piją w kawiarniach zamiast przy kioskach i ktoś kiedys też był z tego dumny. Pisało się o niej jednym kierownikowi kawiarni prawie jak o Makaronie. Teraz w każdym bez mała lokalu mamy atmosferę spod kiosku, a nawróconych nie wiadać.

Taki styl. Nie tylko młodzież jest winna, choć brzydził mnie już wieczne walenie się w pierś przezaonych cioci, biornych na siebie wszystkie zdrobniale nazywane, a wcale nie drobne wychyły dyktybasów po dwadzieście. Taki fason, że trzeba rozrabić, że właśnie tym się imponuje mniej odważnym. Nie będą się więc silić na jeszcze jedną instrukcję apostołskiej służby wśród dzikich. Dorostym też się czasem coś z życia należy.

Cheemy kawiarni dla dorosłych! Są takie i prosperują we wszystkich miastach świata, słowo daje. Nie żadne kom-

binaty ani sykiłwice przez nie-muzycznego gastronomów przez wane supersamy. Malutkie kawiarenki, gdzie nie warto rozrabić, bo za mała widownia. Z dywanem na parkietowej podłodze, zamiast mokrej kamiennej płyty. Z jakimś własnym zapachem, kolorowym, obyczajem, z kelnerką która jest panią tego domu i umie czynić jego honory. Z kawą — ale prawdziwą — w malutkich filiżankach, malenkich — a może i bez kawy? Do Strahla w Wilnie chodziło się na buźkę i to była całkiem swoista frajda. Do Wedla w Warszawie idzie się na czekoladę z pianką. Fantazja! I nie ma tłoku! I żaden ponury Zorro nie podrywa gestem z kryminału żadnej cizy, nie sprzyja sceneria, jest tak wytworne, cicho, po prostu nie honor: przy czekoladzie kumpla spotkać? Bez szkiła?

Żeby choć kilka w Łodzi takich zakątków z niehonorem! Bez dwunastoosobowych stolów, jak w „Agawie”, przy których siedzą dwa-trzy nieznane sobie towarzyszy, decząc się wzajemnie i nienawidząc. Bez stłoczenia sześciu mikroskopijnych stolików na jednym meście kwadratowym, jak w „Honoratce” czy w „Łowickiej”, gdzie wszyscy muszą słyszeć wszystko i potem z tego sceny maiteńskie i inne niespodzianki. Może nawet bez sakramentalnego serwitutu łus tam złotych od stołka dziennie, żeby kelnerka nie patrzyła wilkiem na dwoje ludzi, świeżo — powiedzmy — powróconych z wy-cieczki do Bułgarii, Węgier, Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii i chcących — jak tam — pogwarzyć przy szklance napoju — horribile dictu — bezalkoholowego.

Strach człowieka oblatuje, ale powiem: może by takie lokalki otworzyła prywatna inicjatywa? Może by ją do tego zachęcił niska stopa podatkowa, łatwością uzyskania koncesji i lokalu?

Czytamy ostatnio, że herbarciarnia „Telka” ma być zamie-niona na problemie win. Jakbym widział nową pjalnięjewa z Piotrkowskiej z całym jej towarzyszeniem. Warszawski „Gong” cieszy się jednak nie-slabnącym powodzeniem i ludzie (dorosli!) przychodzą tam na herbatę, droższą niż gdzie indziej kawa. Może to i prawda, że charakter miasta odbija się także w jego lokalach. Cheemy więc kulturalnych kawiarni dla dorosłych, żeby ludziska nie nabrali zbyt złego mniemania o charakterze Łodzi.

CWIEK.

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlöh, Wanda Karoewska, Tadeusz Papler, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzisław Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Falński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-78. Warunki prenumeracji: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca — Poczta (adresy) — Adres: Warszawa, ul. Miodowa 10. Tel. 231-11. Ceny: miesięczny — zł 4; kwartalny — zł 12; roczny — zł 48. Ceny w Łodzi: miesięczny — zł 3; kwartalny — zł 12; roczny — zł 48. — Druk: RSW „Prasa” — Łódź Zwirki 17. Zam. 2438, VIII. 64. P-4.